ZYGMUNT TYSKI

PAN FRED

POEMAT

TRZY PIERWSZE PIEŚNI

KRAKÓW MCMXXIX

ZYGMUNT TYSKI

PAN FRED

POEMAT

TRZY PIERWSZE PIEŚNI

KRAKÓW MCMXXIX

KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI

PIEŚŃ PIERWSZA

1.

Już anioł świtu swoją misję bożą
Zapoczątkował śród modrych przestworów —
I wschód przecudnie czerwienił się zorzą,
Ku zenitowi gamą wszech kolorów
Igrając, które, zdało się, że trwożą
Wyżyn — i bladły z ognistych splendorów,
Stopniowo stając się rużem, opalem
I seladynem, obłoczków woalem,

2.

Dzierganym. Wiatr wiał rześki od Mont-Blanc'u,
Strząsając z rosy kwiatów koafiury
I budząc fale przybrzeżne Lemanu,
Których się grzbiety odblaskiem purpury
Wnet zapalały — a szarfy Rodanu,
Wdali się kreśląc w jakieś kalambury
Z fioletu, lśniły ciemnią swoich głębi. —
Nad brzegiem para frunęła gołębi.

3.

Białe, w czerwonej łunie śmigające,
Za tło mające bezkreśne błękity,
Były jak uskrzydlone dwa miesiące,
Istne przedstańcy boskiej Afrodyty,

Która z tych cudnych fal — jak drugie słońce,
    Rzekłbyś, wytryśnie... naga, w złotolitej
Orgji blasków wschodzącego Feba,
W swym pasie złotym, gdzieś rwąca do nieba

4.

Rozkoszy... Fale szafirowym ruchem
    Zdały się jakoś lubieżnie rozchylać;
Przed wieczystego Piękna jasnym duchem
    Niebiosa przenajsłodziej się umilać;
A słońce miało wspaniałym wybuchem
    Uczcić Anadjomene — i w nim wylać
Wszystkich swych skarbów roztopionych przepych,
Któryby nawet kretów olśnił ślepych.

5.

Powietrze — niby najtkliwsze ramiona —
    Obejmowało cię dreszczową ciszą:
Zda się aksamit dziewiczego łona
    W niem, zda się żywe pocałunki wiszą...
Zda się Favoni, nakształt Endymjona,
    Zasnął na kwiatach, które ledwo dyszą,
Chyląc swe głowy wonne coraz korniej
Przed zjawą boską, co świat uwytworni...

6.

A w międzyczasie, oczekując cudu,
    Mogłeś przemierzać oczyma gór stoki,
Co szły w błękity tak lekko, bez trudu,
    Jakby anioły je niosły w obłoki;

Gdzie oczyszczone z prochów ziemskich brudu,
Świeciły w jaśni zawrotnie wysokiej,
Druzgocząc duszę tobie majestatem
Swych iglic z lodu. — Ach! jak smutno zatem...

7.

Smutno, zaiste, przed tych gór obliczem
Taplać się w bagnie swego przeznaczenia!
I być z tlejącym w piersi, świętym zniczem
Ekspozyturą li tylko marzenia —
Śród trzody ludzkiej, co nie chce o niczem
Wiedzieć, prócz żarcia i żądzy płodzenia —
I na ołtarzu wieńcząc lafiryndę,
Walczy pogłównie o pieczeń i...

8.

Brr... Skrzydeł! skrzydeł!... Wyrwać się z tej cieśni!...
Szczęściem nad głową warczy aeroplan —
Czemprędzej pakuj się weń, synu pieśni,
I bujaj, nakształt Chochlików i Goplan,
Nad tem jeziorem — kędyś najbezkreśniej...
Bo ostatecznie nie idzie ci o plan
Podróży, gdyż wiesz z swych przeżyć zasobu,
Że wszystkie drogi prowadzą do... grobu.

9.

Dawniej mówiono: «prowadzą do Rzymu»;
Lecz Rzym obecnie stracił dawny splendor —
A zresztą było w tem za wiele dymu
Kadzidlanego. — Ja wcale nie mentor,

I bodaj mówię to na wiatr, dla rymu,
 Grając opacznie rolę wieszczki z Endor,
Która tak Saula dojrzała w pielgrzymie,
Jak ja zakrystję śmieszną — w pysznym Rzymie.

10.

Zato śmierć na swym splendorze nie traci,
 Prawdziwa pani ziemskiego pogłowia!
Od wieków sobie w trupy się bogaci,
 Szydząc z insygnjów, tiar, złotogłowia...
Choć jej się złotem podatków nie płaci,
 Chociaż nie życzy na Nowy Rok zdrowia
I nie uprzykrza inwokacją: «Darz mię!» —
Wszyscy jak woły chodzimy w jej jarzmie...

11.

I dokąd idziem z ziemskiej promenady?
 To już korciło książęcego ćwika,
Który nie umiał z tem sobie dać rady
 I — dowcipkował nad czaszką Jorika.
Lecz ostatecznie cóż z tej bufonady
 I satysfakcji przelotnej cynika?
Chyba to tylko: że lepszy fanfaron,
Kogo już przewiózł na swej łodzi Charon.

12.

O, biedny Jorik! O, biedny królewic
 Duński!... Was zrównał już śmierci strychulec —
A my... Tu widzę mych słuchaczek-dziewic
 Oczy zdumione, więc targam fasulec,

Aż łbem wyrzuca Pegaz, a pęk glewic
Z ócz tych przeszywa mnie — i muszę ulec,
To rzekłszy każdej z nich nie bez rankoru:
«Nie płódź grzeszników, lecz — idź do klasztoru!»

13.

Ha! ha! Być może ta rada Hamleta
Byłaby teraz wielce aktualną,
I poza głębią, co jej dał poeta,
Mogłaby snadnie kwestję socjalną
Uprościć. Ale słyszę wkoło veta...
Kobieta chce być, czem jest, — seksualną;
A Mussolini tak pożąda matek,
Że na bezżennych uchwala podatek!

14.

Marzy o Wielkich Włoszech ten bohater,
By z nich uczynić dla swych stóp piedestał;
Więc dyktaturę swą ma za *pied-à-terre*,
Bojąc się, aby w miejscu długo nie stał.
Wie, że jest wiecznem *palemos propater*,
Wie, że ród ludzki być głupim nie przestał
I wie, że Marsa Gradivusa mensa
Łaknie tonnami armatniego mięsa.

15.

A więc ten filut grzywnami przynagla,
By wprowadzano mu dziewczyny w ciąże!
Do wydętego swych ambicyj żagla
Wydęte brzuchy przypina ten książę,

Il Duce w czarnej koszuli z pod magla
Faszystowskiego, którą jemu wiąże
Pod szyją oh! sam Pius XI,
A kwiaty wdzięczne rzucają niewiasty...

16.

Rozczulający — doprawdy — obrazek!
Chociaż na niego skrzywią się dewotki,
Które nie lubią takich parabazek —
Zanadto wiotkich w epopei wiotkiej.
Lecz śmieszków bawi taki wynalazek,
Co do utworu pakuje ulotki
Uliczne, wrzeszcząc: «Eviva Italia!
Ta ma na pierwszym planie genitalia...»

17.

Ale to tylko — ot, luźne gadanie. —
Nas absorbuje teraz tkwiący w wyży
Statek powietrzny, co tak niespodzianie
Zjawił się nakształt ciemnawej paiży
Na niebie, mając pod sobą otchłanie
Wodne — i jakby spadał coraz niżej
Po linji skośnej, miarkując widocznie
Na którymś z brzegów lądować niezwłocznie.

18.

Co mu się stało, że w nagłej derywie
Zaczął planować jakoby w prostracji?
Czy motor naraz jął działać wadliwie
I katastrofą groził sytuacji?

Bo iście zgrzytał jakoś rozpaczliwie
I potęgował nastrój alteracji
Dokoła, mącąc sielankę uroczą
Nad tą marzenną ślicznych fal roztoczą.

19.

A może był to hydroplan (z okazji
Wyży niesposób było opinjować
Ściśle), co żadnej idjosynkrazji
Do wód nie miewa — i przeto lądować
Mógł gdzieby zechciał wedle swej fantazji,
Choćby na pełne morze jego prowadź...
Więc w danym razie nie mogły go wcale
Trwożyć Jeziora Genewskiego fale.

20.

Jakkolwiek rzecz się miała — z każdą chwilą
Aparat spadał, kołując zażarcie.
Nad nim bezbrzeżne błękity się chylą,
Na których — niby bukiety Makarcie —
Mdlały obłoczki rozwianą flotylą;
Pod nim — jeziora pyszne rozpostarcie:
Jakby to samo niebo tkwiło w dole,
Dzierżąc aparat w swem zaklętem kole.

21.

I kto w nim leciał — pewno miał wrażenie,
Że wciąż znajduje się w cudownym centrze
Jakiejś błękitnej bryły — nieskończenie
Olbrzymiej, której wciąż ruchome wnętrze

Barwią jutrzenki czerwone promienie,
A w której rzuty latawca najprędsze
Dają złudzenie, że się wręcz nie rusza,
Że stoi w miejscu — tylko buja dusza.

22.

I gdyby w takim błękitnym kościele,
Gdzie niemasz krzyża ani nawet proga,
Lecz gdzie otchłanne milczenie tak wiele
Mówi... gdzie bezmiar, święty dreszcz i trwoga —
Gdyby w nim zostać, o! duszo-aniele,
Na kontemplacji Nieznanego Boga —
I sercem, tchnieniem błękitu spowitem,
Lecieć za bóstwa nieznanego świtem

23.

Kędyś wzwyż, drogą gwiazdami najkrętszą,
Ponad ich pląsające korowody,
Gościńcem mlecznym, gdzie się słońca piętrzą.
Idące z sobą w wieczyste zawody
Co do świetności — i raptem wywnętrzą
Wszystkie swe ognie, blaski i urody:
I taka zamieć żywych słońc się wznieci,
Że aż cię djabli wezmą w tej zamieci...

24.

O, gdyby! gdyby!... Nabożne wzdychanie
Wszystkich na ziemi majaczących gaduł,
(Którym daleko jakże do Cię, Panie!...) —
A przytem gdyby choć mknąć wzwyż nie nadół.

A tu aparat na karku złamanie
    Właśnie, że spada na ten ziemski padół —
I już, już niemal muska fal jeziora:
Wyskoczyć stamtąd zda się wielka pora.

25.

I z piskiem: *Save our souls!* istotnie z niego
    Dwie wyskakują chyżo młode panny
W strojach balowych — już nie wiem dlaczego,
    Wręcz jak sylfidy tej *féerie* rannej...
Gdy wtem... oh! staje się coś okropnego!
    Wybucha zbiornik z benzyną: fontanny
Ognia, huk, płomień ogarnia aparat —
I w tejże chwili, jak rubinu karat,

26.

Słońce na horyzoncie pysznie błyska
    Swemi pierwszemi promieniami... Hola!
Hipertragiczniejszego widowiska
    Nie oglądano chyba, czyja wola...
Roiłem Wenus, co z morza wytryska,
    Przejmując czarem nadbrzeżne okola —
A tu, o Boże! aż dwie Afrodyte,
W powietrzu frykające *expedite*

27.

Nad tonią; przyczem ich suknie balowe
    Najefektowniej uniosły się w górę,
Automatycznie ochylając głowę,
    A demonstrując odziane w purpurę

Słońca, majteczki z goframi webowe,
W których ich nóżki taką uwerturę
Wykonywały choreograficzną,
Taką pikantną i taką tragiczną,

28.

Że Isadora Duncan niech się schowa!
Ale to trwało mgnienie, pół minuty
(I stąd sensacja tak nietuzinkowa
Może), gdyż wzdętych spódnic *parachute*'y
Nie mogły zdziałać wiele — i zmorowa
Choreografja z powietrznej reduty
Musiała runąć w kołbień. Obie panny
Z impetem wpadły do jeziornej wanny,

29.

Rozchlustywając wód głębie wspaniale
I deszczem bryzgów płosząc mewy, łątki...
A w tejże chwili pochłonęły fale
I aparatu płonącego szczątki,
Co poniósł na dno swoje gorzkie żale —
Przesmutne jazdy powietrznej pamiątki —
I wspominając dwie lotniczki czule,
Będzie tam kędyś pleśniał w dennym mule.

30.

A z nim, niestety, poszedł także na dno
Pilot — a raczej jego trup zwęglony —
Co z aparatu wręcz za cenę żadną
Nie chciał wyskoczyć w *idée fixe* szalonej;

I śmierć okropną miał — choć taką ładną!
W płomieniach w odmęt szafirów rzucony...
Biedaka, jako z «bohaterów» rasy,
Wyłowią i pogrzebem pierwszej klasy

31.

Zapewne uczczą. Cha-cha-cha! — Nagroda...
I za nią oddać swoje młode życie?...
Obowiązkowość dziś taka — to moda,
Raczej sport uprawiany nieskrowicie,
Raczej psychoza, raczej w mózgach woda,
Co zwłaszcza w Polsce leje się obficie
W modnych andrusach, literackich płaczkach:
Doktorach Piotrach, Judymach, Siłaczkach...

32.

A ich duchowy ojciec — to dopiero
Stwór mi! Snobizmu wieczysty męczennik...
Ma on «widzącą wiarę» wielce szczerą,
Co nie jest wiarą w Boga, ani w sennik
Egipski — ale ma być nową erą
Snobizmu i postępu w Polsce. — Cennik
Na te dwa artykuły wielce wzrośnie —
No i w najlepsze zacznie się... *Przedwiośnie.*

33.

Chłop polski taki brudny, kostropaty,
Nagle się w sposób przewierzgnie widomy
W odewszonego franta, co krawaty
Nosi jedwabne i tnie black-bottomy.

Juści on zburzy swoje kurne chaty
A wybuduje wzamian szklane domy,
Gdzie będzie zawsze miał... szampana zadość
I byt swój będzie odczuwał — jak radość.

34.

Więc błogosławcie szklane inwestycje,
Co polski genjusz nasz wzniesie z niczego!
Toć tam poezja staje na swym szczycie,
Którą pojmować według Żeromskiego
Masz jako twórczą autodefinicję
Człowieka-chłopa (tym razem polskiego).
Więc tam *poiezis!* tam tworzenie życia,
Nowych dusz ludzkich i *truck*'ów użycia...

35.

A z pod tych rojeń głupawych czeredy —
Jakże plugawie tchnie życiowa proza:
«Kiedyż nadejdzie podły dzień... oh! kiedy?»
(Do tego wzdycha ta czuła mimoza,
Trubadur Boga-łabędzia i Ledy...)
Kiedyż nadejdzie taki dzień *sub rosa,*
Iż chłop, poczuwszy w sobie czartów hordę,
Zacznie tłuc pana «w kufę, względnie w mordę?»

36.

Bo taki w chamie objaw animuszu —
Toć to fundament przyszłych szklanych domów,
Względnie zdobyczy technicznych genjuszu
Polskiego... (O złośliwość mię nie pomów

Nikt! Przecie kładę to tylko do uszu,
Com z sybillińskich wyłuskał Żeromów)
Wcale solidny fundament — o ile
«Widzącą wiarę» masz jako... Sybille.

37.

Bo teraz w Polsce Sybille mir mają,
Przytem się noszą w portkach, nie w spódnicach;
Ucho do ziemi raz wraz przykładają
I słyszą serc szlochanie w jej tętnicach,
Deptanych — niecnych gruboskórców zgrają,
I krwi wsiąkanie w podziemnych ciemnicach,
I straszne męki bez świadków, i skargi
Niewysłuchane, i żale bez wargi...

38.

«Żale bez wargi» — no, juści nietęgież
Uosobienie... sam czuję najlepiej...
Lecz w mym ogródku niewspaniały ten kierz
Zadrwi z krytyki, gdy się doń przyczepi;
I jeśli jego postawi pod pręgierz,
Jako niemowę bez warg — to *par depit*
Takim protestem huknie ten cierpiętnik,
Jak wiecujących socjałów cielętnik.

39.

I mnie się zdaje, że «na pociejowski
Manier» dziś każdy wrzeszczy, skarży, biada,
Choćby pod ziemią był — jak chce Brzozowski —
Do której «ucho Żeromski przykłada».

Zgoła więc zbędny jest w tej pajacowskiej
  Budzie «truck» taki, gdyż tu zgiełk nielada,
Przy którym i tak całkiem uszy więdną —
I raczej wata ma być w nich niezbędną...

40.

Do licha! Muzo, gdzieżeś mię zawiodła?
  Na «przedwiosenne» jakoweś wertepy,
Kędy panuje taka aura podła,
  Gdzie Moraczewski, Daszyński i *Nep*'y
Pana Grabskiego, i Witosa godła
  Bezkrawatowe, i słodkie ulepy
Perlistych mówek hrabi Aleksandra,
Locarneńskiego naszego Evandra...

41.

Gdzie... dosyć!... Nie chcę już słyszeć o niczem,
  Na łeb na szyję umykam z tej budy!
O jej bilansie handlowym, płatniczym
  Niech sobie każdy rozpowiada cudy...
Ja Hipogryfa swego smagam biczem
  I rwę nad Leman, gdziem już bawił wprzódy
I gdziem porzucił swoje bohaterki
Śród tak okropnej rozbicia rozterki.

42.

I oh! przenika mię do szpiku kości
  Dreszcz, serce bólem ściska się w żałobie,
Że może one już gdzieś w głębokości
  Jeziora cicho spoczywają obie,

Że może po nich... I w tej niepewności
Nie wiem, co z swoim poematem zrobię:
Zali ten jego rozhukany prolog
Najlapidarniej nie przejdzie w nekrolog?

43.

Oh! czytelniczka przejdzie do porządku
Nad tem — autorskie zna przekomarzania,
I uśmiechniona nie dozna w żołądku
Histerycznego żadnego ściskania.
Choć swoją drogą jest dalszego wątku
Tej awantury spragniona jak kania
Dżdżu — i gotowa mi wręcz zrobić afront,
Że się z powieścią swoją nie pcham na front,

44.

Lecz gdzieś na tyłach droczę się i guzdrzę.
Bo powojenne panny — jak zapałki...
Nietylko lubią przyglądać się w lustrze
I tem się pysznić, że są *quasi*-całki,
Lecz tyle fochów w swego serca puzdrze
Chowają, takie z nich czasem wartałki —
Żem dla świętego spokoju gotowy
Iść na ich pasku przez ten las rymowy!

45.

A że niejedna z czytelniczek snadnie —
Dzięki, powiedzmy, wieszczej intuicji —
(O której Bergson rozprawia tak ładnie
I ją z rozumem stawia w komparycji)

Że też — powiadam — niejedna z nich zgadnie,
Iż te dwie moje panny w dyspozycji
Jeziornych fal są córami Albionu —
Ja to potwierdzam, dodając: z *bon ton*'u.

46.

Jedna, blondynka pyszna, nieco smuklej
Wyglądająca, bo wyższa o głowę
Od towarzyszki — to miss Alice Boolkeley [1]),
Funty posażku mająca gotowe —
Co, sądzę, bardziej jeszcze uwypukli
Jej czarujących powabów wymowę;
Prześliczna herytjera i przez kaprys
Studentka w Cambridge — ot, w dwu słowach abrys.

47.

Druga zaś Nelly Gordon, jej kuzynka,
W Londynie pałac ma, czy jakiś hotel;
Jest wdową — i gdzieś ma małego synka,
Nad którym czuwa jakiś Arystotel;
Przystojna, pulchna — a sprytna gadzinka
Mogłaby ministerski zająć fotel;
Niby to sufrażystka, ale hymen
Więcej jej w głowie znać niż *votes for women.*

48.

Obie zmyśliły przylecieć z Ostendy,
Gdzie przebywały, — z pieca na łeb — z balu;

---

[1]) Czyt. Bukli.

Namówił je tam znajomy im *dandy*,
Awiator Belg, — *à bon entendeur salut*.
Tem *surprise party* chciały zdobyć względy
Swoich genewskich znajomych. — W opalu
Przyszłej sensacji spróbowały jazdy,
Która dosłownie niosła między gwiazdy.

49.

Lecz śród niebieskich gwiazd-arystokratek,
Gwiazdy sezonu ostendzkiego jakoś
Nie mogły sobie ról zdobyć fiksatek [1]),
Tak jak naprzykład nasz proboszcz, ksiądz Pakoś,
Choć go zaleca i mądrość i statek,
Nie może błyszczeć jak kardynał Kakoś; —
I ze zgryzoty na chudej parafji
Codzień flakonik wysącza ratafji.

50.

Więc gdy je zawiódł pysznych gwiazd *agrément*,
Biedaczki moje — jak czytelnik wie już —
Najniefortunniej zwaliły się w Leman;
Każdej spadł z głowy *pittoresque* kapelusz,
No i na falach, jak prawdziwy *seeman*,
Bujał, lśniąc niby afisz czy kartelusz
Jakiś jaskrawy. — A one?... O! juści,
Że cało wyszły z tych modrych czeluści.

---

[1]) Les étoiles fixes.

51.

Nie utonęły, choć były tak blisko
Tej możliwości. Nie mogły utonąć...
Inaczej bowiem w łeb wzięłoby wszystko,
I mój poemat, co ma tak rozpłonąć,
Jako ta zorza przed chwilą — w ognisko
Wspaniałe słońca, i splendorem wionąć,
Oraz szczytnem *Gaudemus igitur* —
Zgasłby, nim wdziałby ów blasków garnitur,

52.

I zmarł przed swojem urodzeniem. — Rety!
Jušci nie mogę do tego dopuścić...
Dbam wielce o swą renomę poety
I wielką chrapkę mam wodze popuścić
Fantazji, widząc jak mnie komitety
Jakieś tam zechcą kiedyś darem uczcić,
I przepchnąć między tuzy nieśmiertelne,
Jak świeżo Staffa przez... uszko igielne.

53.

Odżegnywając się więc od dygresji,
Muszę co siły śpieszyć na ratunek
Swym heroinom w tak ciężkiej opresji.
Właściwie nie ja śpieszę, lecz trafunek
Szczęśliwy — przecudowny w swej ekspresji,
Opatrznościowy wprost dla tych bogunek,
Co z ostendzkiego balu — niebios szlakiem —
Spadły tu w topiel — jak raz w miejscu takiem,

54.

Gdzie niedaleko przepływał w swej łodzi
Młodziutki hrabicz Fredek, główny heros
Tej epopei. — Jakże cudne płodzi
Tu perspektywy, pełne róż, tuberoz,
Imaginacja!... Jak w kwiatów powodzi
Tych — sieci swoje rozpina bóg Eros!
Jak... dość!... Niech czytelniczki się weselą:
Mam ekspozycję *di primo cartello!...*

55.

A ekspozycja — to w każdym utworze
Rzecz nader ważna. To węzeł gordyjski,
Co sobie czasem zadzierzgasz w humorze —
A on, jak jakiś hieroglif pityjski,
Nieobliczalne następstwa mieć może;
I nierozsupłan w tej iście indyjskiej
Dżungli wypadków — niezawsze się spotka
Z Macedończykiem, co nie zna półśrodka...

56.

Ale cokolwiek ma tam być w przyszłości,
Trzeba żelazo kuć póki gorące,
I wam czemprędzej przy tej sposobności
Przedstawić Freda: — wielce ujmujące
Maniery; sam zaś jest wzorem piękności
Charmidesowskiej; a kiedy potrącę
O tem, że sporty uprawia najwalniej,
To go przedstawię wam — najaktualniej.

57.

Dziś aktualność — ta jedna popłaca.
Świat, zda się, żyje minutą, sekundą,
Od wszelkiej wzniosłej myśli się odwraca
I jak szaleniec, co pląsa *in fundo*,
W sportach, dancingach swą duszę zatraca; —
Jest jakby jakąś cyrkową rotundą,
Gdzie wszystkie sporty, tańce — przy jazzbanda
Huku — notują wciąż swoje *crescenda*.

58.

A któż w tej budzie jest reprezentantem
Filozoficznej myśli? Ha! polityk...
On jest dziś u nas tym wszechmocnym frantem,
Choćby z duchowych składał się enklityk.
Znać mądrość na psy zeszła, kiedy Kantem
Może być dla nas Wilson. — To nie przytyk
Pod Ameryki adresem, co wszędy
Pcha swoje fordy, filmy i jazzbandy...

59.

Fredek miał liczne poza sportem plusy:
Marzyciel, wielki miłośnik natury,
Lubił odcyfrowywać jej rebusy,
Sięgając czołem kędyś aż za chmury.
Nadto czasami uczuwał zakusy
Deklamowania z szczytu jakiejś góry,
Na swych wycieczkach, śród kryształnej ciszy,
Wierszy *Siżysia* do «boskiej» *Didyszy*.

60.

«Czy to nie widmo, które ja stworzyłem
I w chwili natchnień sam wywiodłem z siebie?
Nie! tej postaci ja nie wymarzyłem!
Ona przez Boga wymarzona w niebie...»
Z jakiemż przejęciem finezyjnie miłem
Stwierdzał to młodzik, w gwałtownej potrzebie
Wywnętrzeń wobec wirchów — bez ogródek,
Że jest w miłości jeszcze... nawskróś dudek!...

61.

Egzaltowany, lubił też ogromnie
Ranne wycieczki łodzią po jeziorze,
Gdy nawznak leżąc w niej, wręcz nieprzytomnie
Zapamiętywał się, zapatrzon w zorzę...
Łódź śród lazurów czaiła się skromnie,
A on wyrzucał ramiona w przestworze,
Jakgdyby pragnął, drwiąc z tytanów losów,
W objęcia zorzę pochwycić z niebiosów;

62.

I na swej piersi ją mieć — czuć w objęciach —
Jakby kochankę z Verlaine'a sonetu,
Która się prosi w dziewiczych zaklęciach
Wstydu, by... nie rozpinać jej gorsetu,
A cała z ognia jest i — w swych przegięciach
Lubieżnych — przeczy szeptanemu vetu;
I cię spowiwszy swych ogni purpurą,
Naraz piorunną przedziela się chmurą...

63.

I właśnie w chwili podobnej ekstazy,
Kiedy na łodzi zmierzał przez fal setki
W gardziel Rodanu do Russa oazy,
(Lubił z tej cudnej wysp anachoretki
Świtu na niebie obserwować fazy),
Spadły mu na kark z nieba... dwie facetki.
Właściwie nie na kark, lecz tuż do wody:
W mig spenetrował, że — cudnej urody.

64.

Otworzył usta, wybałuszył ślepie
I z rąk wydarłszy przewoźnika wiosła,
Po turkusowym łódkę pędził stepie,
Co jak skrzydlata jaskółka się niosła.
Panny ujrzawszy pomoc, w słusznej krzepie
Błogosławiły niebiańskiego posła,
I w mig się burty łodzi uczepiwszy,
Przewróciły ją w obsesji najżywszej,

65.

Nie zdając sobie sprawy z swej czynności —
Jakto zazwyczaj z topielcami bywa.
Więc było teraz oj! nie do zazdrości...
Fredek z odmętów Alicję porywa
I podtrzymując ją wedle możności,
Ku przewróconej dnem łodzi podpływa
I śliczną pannę wpoprzek na niej mości;
Przewoźnik drugiej pomaga jejmości...

66.

Szczęściem dojrzano śród fal te pechówki:
Padł sygnał-alarm, petardy grzechocą —
I już od brzegu łodzie-motorówki
Z ratowniczemi statki mkną z pomocą.
I wkrótce ekscentryczne Ostendówki
Na pokład wzięte — śmiesznie się trzepocą
W swych mokrych strojach, z pod których strumienie
Leją się wody, żenując szalenie.

67.

Niebogie utopiłyby się obie —
Lecz były w sztuce pływania ćwiczone
I miały pasy gumowe na sobie,
A w sobie — serca wręcz niepożyczone! —
Takim, zaiste, zawcześnie być w grobie...
Teraz wciąż w Freda pozierały stronę,
Aż wreszcie Alice, nadrabiając minką,
«*I don't care!* — rzekła — zmokłyśmy z kuzynką...

68.

Ale dziękujem panu za gotowość
Nas ratowania...» Tu podała rączkę.
Znaleźć się w kropce — nie była to nowość
Dla bohatera naszego, lecz drżączkę
Dziwną w nim sprawiał ten głos — a stalowość
Nerwów uczuła rozkoszną gorączkę...
I gdy wciąż milczał: «No, z pana nie *masher*...»
Rzuciła z śmiechem. «*Vous êtes pour nous très chair*...

69.

Zaczęła wdzięcznie francuskim frazesem,
 Sądząc, że po angielsku nie rozumie.
Może też chciała figlarnym karesem
 Olśnić go zręcznie — jak to każda umie
Kokietka, zwłaszcza taka, co z sukcesem
 Już brylowała w świetnych kobiet tłumie,
Na plaży ostendzkiego Cosmopolis,
I której flirt jest — jak boski rosolis.

70.

Juści za takie cuda — chwała Bogu!
 Zresztą jak chcecie... toć *chaqun à son goût.*
Co do mnie — tu się wyłamię z nałogu
 I nie napiszę wam dalszego ciągu
Tego tak wytwornego dialogu,
 Co zaraz stał się czemś nakształt tryftongu,
Gdyż wzięła udział w nim także i Nelly —
Niech wam się zdaje, żeście go słyszeli.

71.

Pewnie wam na to stanie wyobraźni,
 Zwłaszcza wam, moje piękne czytelniczki!
A gdy nie stanie której — niech ją drażni
 Ciekawość, niech drze powieści stronniczki,
Niechaj autora zwymyśla i zbłaźni,
 Niech go wspaniałym gestem histeryczki
Wpisze na indeks, niby drugi papież,
Niech — jak pod pręgierz — pod łez swoich kapież

72.

Postawi i — i niech jak chce pomstuje!
I w zemście nawet dochodzi do szarży...
A gdy z wściornaści wreszcie zachoruje,
Niech w Kasie chorych czelnie go oskarży — —
Toć się dopiero ukonstytuuje
Trybunał! Toć nań Momus śmiechem zarży,
Dostając krasnych wypieków i centek,
Że kasie chorych przysparzam pacjentek!...

73.

Oh! kasa chorych, czy też kasa chora...
Niech sobie nadal choruje *crescendo;*
Można jej życzyć tego. — Mnie zaś pora
Do mej powieści wracać — i gawędą,
Odzianą w szatę rymów amatora,
(Wszak dyletanci zawsze w sztuce będą),
Znowu wam służyć, prawiąc o hrabiczu
I dwu Angielkach na Lemańskim *beach*'u

74.

Z sobą zetkniętych. — Krótko rozmawiali,
Gdyż paniom było pilno do hotelu
Zrzucić zmoknięte suknie i tam dalej —
I buchnąć w łóżko w zrozumiałym celu.
A swoją drogą wielce im się chwali,
Że choć zmęczone, wstrząśnięte tak wielu
Przejść — nadrabiały cudownie rezonem,
I czarowały swem wzięciem i tonem.

75.

To też rozmowa — acz krótka — zrobiła
Bardzo dodatnie wzajemnie wrażenie,
I może w treści nieco przyzawiła,
Niemniej sprzyjała temu nieskończenie,
Ze sympatycznych różnych nici siła
Zostało nawiązano w owem mgnieniu:
Między tym frycem na Amora perci
A strojnisiami, które — wydarł śmierci.

76.

Tak się zaczęła ta dziwna znajomość,
Co w perypetje rychło się miłosne
Jęła przedzierzgać — a czego świadomość
Czarem muskała dwa serca radosne,
By wkońcu porwać na zawrotną stromość
Lodowych szczytów... Ale — ale wiosnę,
Cudowny miesiąc maj, mamy obecnie —
Nie uprzedzajmy więc wypadków niecnie.

77.

Zwłaszcza nie mówmy różom, co z pąkowia
Tylko co rozkwitają najprzepyszniej,
Gdy każda zionie krasą, cudem zdrowia,
I swą purpurą i wonią się pyszni,
I na swym krzaku tak się usadowia,
By mogła w słońcu marzyć najzaciszniej —
Nie mówmy zgłupia frant im wtedy o tem,
Że kiedyś przyjdzie jesień z pluchą, błotem...

78.

Ale co mówić? — że Bóg jest na świecie?
Że miłość dobra rzecz? że pióro skrzypi?
Na komunał świat stoi!... Nie wiecie?
Maksymy starej: *Mundus vult decipi*...
Niech się komedja gra — powiada przecie
Wcale wyraźnie Słowacki, co kipi
Jeszcze po śmierci swych sarkazmów lawą —
Grajmyż komedję tedy z całą wprawą!...

79.

Tak! *totus mundus agit histrionem*...
A ktoby zechciał jego w tem powściągać,
«Przedrzeźniającym wręcz byłby bufonem»,
Jak również, gdyby chciał z tego wyciągać
Jakiś gorszące wnioski. Uśmiechnionem
Sercem z samego sobie chciej urągać,
Pląsając pod tym szyldem w kiepskiej budzie,
Gdzie się całują, kochają, mrą ludzie...

80.

Więc o miłości nic więcej nie powiem. —
Niech się rozwija sobie spontanicznie
Tymczasem w mojej powieści — albowiem
Alice i Nelly (jak się składa ślicznie!)
Tu miały spędzać (niech je Pan Bóg zdrowiem
I szczęściem darzy!) z zjechanymi licznie
Krewnymi letnie wczasy aż po jesień,
To znaczy będą mniej więcej po wrzesień

81.

W Genewie bawić na wilegjaturze —
W tem przecudnem mieście, które zda się
Zostało z nieba zniesione na chmurze
Skrzydeł aniołów — w swej pierwotnej krasie!
I aby nie tęskniło po lazurze
Swojej ojczyzny, ni jej tęcz atłasie,
Ani po blaskach, co tam wiecznie gorą —
Ma u stóp swoich błękitne jezioro.

82.

Najrozkoszniejsze jezioro na świecie —
Wprost coś rajskiego... tchnie nadziemskim cza-
[rem!
W niem — jak w błękitnym, promiennym szalecie,
Objętym ogni bengalskich pożarem —
Zdaje się wionie w czarownym balecie
Jakiś Charytek rozpląsanych harem;
Słyszysz ich śmiechy, szepty — i przez burty
Łodzi się chylisz w czarujące nurty...

83.

Z tego jeziora, które w blaskach słońca
Lśni, jako tarcza olbrzymia z szafiru,
Polerowana od końca do końca
I osypana skroś garściami żwiru
Brylantowego — zda się, nakształt gońca
Z krain zaklętych sezamów Ofiru,
Wypływa rzeka, przeuroczy Rodan;
Przezeń w tem miejscu most wspaniały podan:

84.

Le pont du Mont-Blanc; nieco dalej — drugi
Za wyspą Russa, rozpięty arkadą;
Dalej po lewej stronie rzeki — smugi
Domów, pałaców, mknących amfiladą;
Ślicznych bulwarów szmaragdowe fugi
Tu i tam wabią pyszną promenadą:
Tak z lotu ptaka wygląda wspaniale
La Cité między Eaux-Vires a Plain Palais.

85.

A wszystko na tle pysznej ponaramy
Majestatycznych gór, ginących w niebie...
O góry! nato was przed wzrokiem mamy,
By w tym zakątku rajskim, w tej kolebie
Rozkoszy, szczęścia, światłości bez plamy,
Nad tem jeziorem, co tak rwie do siebie,
Jakgdyby było kochanką zmysłową —
Nie zapomnieli o niebie nad głową.

86.

I zda się, że te góry niebotyczne
Są temu miastu — rzewnem *pro memoria:*
Nie dają jemu poprzez wieki liczne
Zapomnieć o tem, że je wieńczy glorja,
Że je legendy stroją fantastyczne,
Ach! że aniołów je fantasmagorja
Z nieba niosących na skrzydłach — upiększa:
I to zasługa jest tych gór największa.

87.

Więc w tym zakątku rajskim, nad jeziorem
Błękitnem, na tle białych will, hoteli —
Zetkniętych z sobą wypadków ferworem
Zostawiam Freda, Alicję i Nelly.
Niech tu przyjaźni kiełkującej torem
Obcują z sobą świetlani, weseli —
I pośród błogiej tej symfonji *scherca*
Zaczną uczuwać żywsze bicie serca.

88.

Niech zwłaszcza Fredek i Alicja z sobą
Flirtując, zachwycająco się droczą;
Czasem się splinów przelotnych żałobą
Ni stąd ni zowąd na krótko zamroczą;
To nawiedzani sceptyków chorobą,
Metafizyczne spory z sobą toczą;
To grają chwacko w hockey'a, w tennisa;
To jeżdżą konno z aplombem farysa...

89.

I coraz jaśniej sobie zdają sprawę,
Że to jest wszystko — takie czarujące!
Tak poetyczne, uroczo-ciekawe,
Że gdy którego dnia z sobą na łące,
Lub gdzieś się w parku na wspólną zabawę
Nie zejdą — w duszach ich śćmiewa się słońce,
Jakiś żal mają do siebie wet za wet,
Są bez humoru, apetytu nawet

90.

Nie mają. Zasię przy lubych spotkaniach
Czują się jakoś dziwnie pomieszani,
Co przy liczniejszych cokolwiek zebraniach
Juści uchodzi obserwacji taniej —
Niemniej ich wstrząsa. Tak bywa w zaraniach
Każdej miłości, co ma coś z otchłani,
I duszę w szczęściu — podobną kwiatowi —
Otchłannym wiewem grozy — bosko mrowi.

91.

Niech na wysepce Russa, przed posągiem
Mistrza usiadłszy, na stopniach cokołu,
Bliziutko siebie — jakgdyby dyftongiem
Byli z dusz bratnich, — czytają pospołu,
Przejęci jakimś grzmiącym ducha gongiem,
Na tle huczących kędyś fal u dołu,
Miłosne partje z *Nowej Heloizy*
I niech się widzą w nich — jak dwa Narcyzy.

92.

Niech na wyżynie Salève upojeni
Fascynującym zaiste widokiem
I pełni w sobie dyskretnych promieni:
On — niby Manfred z pałającem wzrokiem,
Ona — jak cudna, rozmarzona ksieni,
Okryta jakimś wizyjnym obłokiem —
Bez krzty aktorstwa, w ekstazie najszczerszej,
Dialogują angielskiemi wierszy.

93.

Niech w saloniku swym, czy buduarze,
Czy na werendzie, czy też gdzieś w glorjecie,
Jedząc owoce czy lody — w rozgwarze
Lubych plotoczek o miejskiej sosjecie —
Ona go uczy w pietyzmu nadmiarze,
(Wąchając z wdziękiem wonne w rączce kwiecie),
Najpoprawniejszej wymowy angielskiej
Podług swej własnej metody — anielskiej...

94.

A on przez wdzięczność za owe finezje,
Tonąc w szafirze ócz ścienionych rzęsą,
Jej recytuje cudowne herezje —
Erotyk Tetmajera *in extenso!*
Słucha, zgaduje, że to są poezje,
Co ją kreują przed miłosną mensą
Jako boginię... raptem śmiechem parska —
Ach! toby w kinie zagrała Smosarska!...

95.

Niechaj na *Grande rue,* lub innej *avenue*
Górnego miasta, załatwiając *shopping,*
Miss Alice, idąc trotuarem w cieniu,
Ma obok, niby przenajsłodszy dopping
Serca, co bije w jakiemś rozmarzeniu,
(Nie można tego okazać, bo shocking...)
Naszego Freda. Ten kilka jej paczek
Dźwiga — wytworny i skromny jak żaczek.

96.

A tu się marszczy któraś z czytelniczek:
«Jakie to nudne! oklepane!... *Fi donc!*
Wyszłyśmy przecie z *fashion*'u romantyczek,
Teraz już śmieszny jest każdy Coridon...
Miłość się teraz wręcz bez rękawiczek
Traktuje... Cha-cha! Być czułą Dorydą —
Tego nie staje! Ot, byłabym dobra...
Czyż to nie piszą Morand, Gide, Decobra?...»

97.

Tak. Miłość iście dziś nie potrzebuje
Owych wszelakich *mise en scène,* preludjów;
Gracko z królowej zmieniła się w szuję,
(Naco przedwstępnych nie potrzeba studjów).
Dziś na dancingu tańczy się, całuje
Z byle facetem, a potem . . . . . .
. . . .
. . . .

98.

Lecz ty, miłości, prześwietna, wytworna!
Ty — przesubtelna i najwyższej marki!
Polerowana przez wieki i dworna
W zamku Rambouillet, w sonetach Petrarki;
W smętnej Ofelji — męczennica korna;
W Romeo i Giuliecie — nakształt arki
Złotej — rozpięta nad dwu serc różycą:
Jeśli masz zostać teraz ulicznicą,

99.

Albo szmatławą mądralą w binoklach,
Materjalizmu dziejowego służką,
Który naucza na Marksach czy Buckle'ach,
Że dla miłości ważniejsze jest łóżko
Niż dzieła Dantów, Szekspirów, Sofoklów...
Jeśli masz na tej suchej wierzbie gruszką
Być... o miłości! zdmuchnij słońce z nieba...
Gdy ciebie niema — nam słońca nie trzeba!...

100.

«Fe! co za patos cierpiętniczo-ckliwy!»
Woła ze śmiechem moja oponentka:
«Znamy te gesty starej, robaczywej
Kultury waszej, której śmierć już prędka.
Teraz świat krzepią już inne porywy.
Inna kultura — wręcz omnipotentka —
Proletarjacka kultura demosu
Świta bez gestów, poezji, patosu.

101.

«I przeto trzeba takie komunały,
Jak *miłość, dusza, Bóg* i innych sporo,
Co jak robocze szkapy się sterały,
Robią bokami i z miejsca nie biorą,
Oddać hyclowi — niech je z obolałej
Od smagań skóry, (bo jakżeż je piorą!)
Wreszcie obłupi — i na buty sprzeda».
Tak mi ta panna tonem mełameda

102.

Prawiła, upajając się najsłodziej
Tem, że rzekomo mię nabiera zgóry.
No i dodała, że zjawił się w Łodzi
Właśnie prekursor tej nowej kultury,
Co w takich butach już «najfajniej» chodzi:
Jeden but — z skóry Boga, drugi — z skóry
Duszy, katgutem przeciągnięte we szwach,
Na elastycznych gumowych podeszwach.

103.

Podobno buty niebardzo zazuwne,
Ale sprawiają ogromną furorę;
I wszystkie w Polsce mód ośrodki główne
Pchają je *par force* na życia *agorę*.
A wszystkie w Polsce tem Nowatorówne
Wprost są olśnione i — aż z ekstaz chore —
Mają w swych łóżkach, jak na głównym składzie,
Zarazę w... Łodzi — przepraszam: w Grenadzie.

104.

«A ja» — kończyła ku sensacji wielkiej
Ma rozmówczyni, na proletarjuszkę
Lecąca, — «oto swoje pantofelki,
Te co pan widzi» — wysunęła nóżkę
Dyskretnym ruchem naduwodzicielki,
Mając we wzroku coś, jak blasku smużkę —
«Kazałam uszyć ze skóry miłości,
Którą czyściciel zdarł w mej obecności;

105.

«I nie uwierzy pan? co za szalone
Mam powodzenie na dancingach, balach
W tych pantofelkach». — Zerknęła na stronę. —
«Niech pan nie myśli jeno o skandalach
Żadnych... Rzecz inna, że są uproszczone
Teraz stosunki płci...» — «No, tak! na falach
Tańców murzyńskich w lubej minoderji
Trzeba nie serca strzec, lecz... biżuterji».

106.

Zrobiła na mnie bardzo wielkie oczy,
I mi wymyślać od impertynentów
Jęła, w swej misji demoso-proroczej
Nie szczędząc wyświechtanych argumentów.
Ja zaś dość miałem tej sprzeczki uroczej
I jednocześnie pełnej wspólnych wstrętów —
Tedy z ukłonem przerwałem szarmycel,
Gdzie były: miłość, pantofle i... hycel.

107.

Tak wycofawszy się z ciemnego lasu
Bzdurstw ideowych szarmanckiej dziewczyny,
Porzucam teraz — jakom rzekł — do czasu
W Genewie Freda i swe heroiny;
A sam nie robiąc wielkiego hałasu,
Czmycham na stepy bujnej Ukrainy,
(Raczej na pola), «gdzie tak smutno duszy»
I gdzie czytelnik niech za mną wyruszy.

108.

Czemu nie? Możnaby na awjonetce
    Spróbować frunąć, z niepłonną emfazą
Wierząc, że katastrofa tej karetce
    Powietrznej żadna nie grozi «tą razą»;
I wzrok z zachwytem utkwiwszy w lornetce,
    Oglądać widok z niej *à vol d'oiseau*
Pałacu w Czerczy nad modrym Smotryczem,
W miejscu zaiste wielce malowniczem.

109.

Więc, czytelniku, kędyś nad jarami
    Podola bujaj sobie w samolocie!
I zeń wypatruj zamku z kolumnami
    Z marmuru, w słońca jarzących się złocie.
Właśnie rzecz o nim będę wiódł rymami
    W następnej pieśni — a teraz po locie
Przydługim Pegaz mój swe skrzydła zwija:
Adieu, czy dowidzenia — łaska czyja...

PIEŚŃ DRUGA

1.

Ta Czercza, dawny podolski zameczek,
  O którym bodaj że wzmiankuje Rolle,
W czasach — tatarskich, łupieżczych wycieczek
  Wręcz niepoślednią odegrywał rolę.
Kozacy w czasie buntów, kiedy «świeczek»
  Nie żałowali, plądrując Podole,
Dwakroć spalili go do częstokołów —
A on jak feniks powstawał z popiołów.

2.

Wreszcie w uroczej epoce *rococo*
  Król Staś darował te Czerczeńskie dobra
Kasztelanowi Ponfickiemu loco.
  Ten był poniekąd jakby pana Bobra
W Zahajcach prototypem. — Czarnooką,
  Piekną, uczoną, zjadliwą jak kobra
W dowcipie, żonę miał w jedwabnych wulstach [1]),
Z którą w Warszawie romansował król Stach.

---

[1]) Bufiaste na łokciach rękawy stanika kobiecego w końcu XVIII wieku.

3.

Z pewnością miłość ta nie tak jedyną
Była, mniej miała poezji, snów, listów —
Jak Irydjona z donną Giovanniną,
Choć niemniej miała sporo pamflecistów.
A również była «przekleństwem i winą»
Dla pięknej pani, co w Czerczy śród świstów
Wichrów jesiennych, oh! kiedyś kapelan
Będzie pocieszał — a gwizdał kasztelan.

4.

Właśnie ta Czercza z wspaniałym pałacem,
Z parkiem prześlicznym z nimfami z marmuru,
Z miastem opodal i kościelnym placem,
Kędy szczerbate tkwiły resztki muru
Dawnych baszt zamku, na których z anzacem
Pięły się krzewy, jak palmy Darfuru —
Była własnością ojca Fredka, który
Był praprawnukiem z primogenitury

5.

Owego pana kasztelana, co to —
Acz rogal — dumny był ze swojej żony
I z swojej Czerczy, gdyż był... patrjotą.
I umarł jako wielce zasłużony
Ojczyźnie, choć jej bronić przed sromotą
Podziałów nie chciał, przez ościenne trony
Subsydjowany podobno za życia —
I potem jakoś to wyszło z ukrycia.

6.

A może były to tylko kalumnje,
Które Lelewel, na arystokratów
Niełaskaw, w pismach swych drukował szumnie,
Gwoli uciechy jurnych tramtadratów.
Jakoby odparł owe fałsze dumnie
Któryś z późniejszych Ponfickich kognatów
W swej monografji, wyszłej w *Ateneum*,
Wydanej potem przez Ossolineum.

7.

Jakkolwiek było tam z tym kasztelańskim
Przodkiem (nie będziem gmerać w tej mizerji!)
Dość, że Ponficcy na swym wielkopańskim
Majątku wszyscy byli w dalszej serji
Wprost na świeczniku — z iście nitzscheańskim
Pędem ku czynom polskiej eleuterji;
I cudem jakimś jedynie rząd zdzierczy
Nie skonfiskował im w powstaniach Czerczy.

8.

Wprawdzie tam o tych cudach — przez fantastów
Plotkarzy były domysły dość tanie
Kolportowane (no, jak w kraju Piastów!)
A w grę tu pono znów wchodziły panie...
Panie, co miały szczęście do dynastów,
Urodę cudną i glejt na kochanie
Chyba już w spadku po kasztelanowej,
Na mocy... abdykacji Augustowej...

9.

Ale — jak rzekłem — są to plotki, plotki
    Mniej wiarogodne, niż *Miesiąc miodowy*
Marji Leszczyńskiej z Boy'owej gablotki,
    Albo w interpretacji naukowej
Do I. Mrozowskiej tegoż Boy'a zwrotki,
    A propos której po rozum do głowy
Poszedł psycholog, nauki luminarz,
By «skok» wyjaśnić nam — jak weterynarz.

10.

Z czego Boy dumą niepowszednią wzbiera:
    «Poezja w służbie nauki — na dobie!»
Z aplombem wykrzykuje ten kostera,
    Robiąc reklamę przedewszystkiem... sobie
A snobkom blada rumieni się cera,
    Kiedy czytają o nowym sposobie
Interpretacji jego madrygałów
Przez psychologów — *pardon*... konowałów. —

11.

Ale te «słówka» powiadam *en passant*,
    Wiem, że się w plotki wdawać niebezpiecznie,
I mniemam, że też i czytelnik wasan
    To stanowisko podzielasz statecznie.
Co zaś do czytelniczek... niech choć zhasan
    Będę, lecz powiem, co tu myślę, — grzecznie,
Albo — co grzeczniej — poniecham tej racji
I — co najgrzeczniej — wrócę do naracji.

12.

Więc rodzic Freda, naszego herosa,
Był właścicielem — jakom już rzekł — Czerczy,
Której się pałac unosząc w niebiosa
Z góry dość stromej, dosyć dumnie sterczy
Nad rzeką, która przychodzi z ukosa
I maceruje w misji przeniewierczej
Od wieków — góry skaliste podłoże,
By górę z zamkiem kiedyś unieść w morze. —

13.

Hrabia zamłodu wiele podróżował —
Był zawołanym myśliwym, sportowcem —
Saharę zwiedzał, gdzie na lwy polował;
W Egipcie szperał nad jakimś grobowcem
Faraonowym; z Sfinksem medytował
Nad doczesności obłędnym manowcem;
Wreszcie już mając czterdziestkę z okładem
I z siwiejącej czupryny diadem,

14.

Jął się ożenku — nie wiem: czy *faut de mieux*,
Czy też *pour passer le temps;* ale żonkę
Wziął hożą, młodą księżniczkę Eufemję —
Zasłużonego wielce rodu płonkę —
Która podobno zań szła — jak pod ziemię,
Inną w serduszku pieszcząc miłość-mrzonkę.
A on — nie wiedząc o tem nic — po ślubie
Tak się rozkochał w żonie — jak w cherubie;

15.

I najszczęśliwszym był z ludzi. — Niestety,
Żona z połogu mu umiera, w darze
Pozostawiając synka i... sekrety
Korespondencji swej w ekrytuarze.
Tu już porwały wdowca czartów czety
Kędyś w ogniste piekieł wirydarze...
On — jak po śmierci panny de Lespinasse
D'Alambert — omal nie zwarjował (i nas

16.

Nie wtrącił w ostateczne przygnębienie).
Lecz geometrja ocala Francuza!
I każe uczcić mu umarłej cienie,
Jakby to była geometrji Muza
Z cyrklem i linją na życia arenie,
Nie *grande amoreuse* z «boskiego zamtuza» —
Czem był zaiste podówczas ów kraik
Paryski — jak go nazwał jakiś laik.

17.

No i nasz hrabia, wcale nie doktryner,
Po samobójczym chybionym zamachu,
O czem jedynie wiedział kamerdyner,
Jął się wydźwigać z miłosnego krachu.
A że z lat młodych był zeń puatryner —
Ujrzał się co do zdrowia w groźnym szachu,
Więc żonie pyszny postawił nadgrobek,
(Czem zachwyconych było kilka snobek),

18.

A sam wyruszył do Włoch dla ratunku
Płuc zagrożonych i — dla rozerwania
Myśli, będących wciąż w ciężkim frasunku, —
Kędyś śród kwiatów nad brzegami Ania.
Po kilkuletnim tam o to starunku,
Wrócił do Czerczy już nie do poznania
Zmieniony — stary, złamany, pochyły
Zupełny starzec bez zdrowia i siły.

19.

Ale choć zdrowie już było ruiną,
Pod względem ducha wzmógł się znakomicie;
Skąpał się w nurtach mądrości, co płyną
W dziełach genjuszów, badających życie —
I wypłókał tą driakwią jedyną
Żółciowe z siebie głazy przeobficie
Wszelkiego dogmatyzmu i katońswa
Bez cienia pozy, tem mniej fanfarońswa.

20.

I po przyjeździe najpilniejszą rzeczą
Było dlań — żony odwiedzić grobowiec.
I odtąd codzień z pietyzmem i pieczą
Przynosił kwiaty nań posępny wdowiec,
I tam rozmyślał nad dolą człowieczą,
Ach! nad tym szlakiem panurgowych owiec,
Co pędzą — dokąd?... W otchłań bezwątpienia...
Często tu siedząc, czytywał Montaigne'a,

21.

I pełen boskiej wyrozumiałości,
Co ma wzruszenie ramion dla wszech zgrzytów
Istnienia — nimbem otaczał świętości
Żonę nieboszczkę, co się z pod granitów
Wizyjnie przed nim w swej całej piękności
Teraz zjawiała. — Z listów i zeszytów
Wiedział, że miała go odbiec zdradziecka,
Wtem... się poczuła matką jego dziecka...

22.

Wiedział to wszystko — i sercem przemierzał
Całą tragedję tej anielskiej duszy,
Której kształt ziemski do niego należał,
Był pastwą jego chuci — śród katuszy!...
I na jej grobie, ach! teraz się zwierzał,
Że go świadomość tego łamie, kruszy...
A nań patrzała ona z wspomnień tęczy,
Mając w swych oczach coś z Beatryx Cenci —

23.

Której przed ścięciem rysy Gwido Reni
Tak genjalnie uwiecznił na płótnie,
(W rozpaczy targan bólem do fibr rdzeni,
Gdyż sam się kochał w niej, biedak, okrutnie).
Hrabia, jak wszyscy turyści strapieni,
W Rzymie oglądał ten portret przesmutnie;
I tak był olśnion skazanej wyrazem
Oczu — że tkwił dnie całe przed obrazem. —

24.

Z myślą, wstrząsaną tragizmem rzetelnym,
Jakby do jakiejś posępnej świątyni,
Gdzie tchnie fatalność urągiem bezczelnym,
Ach! do galerji wstąpmy Barberini —
I przed portretem stańmy nieśmiertelnym
Owej rzymianki, co tak dziwne czyni
Wrażenie... Zda się, nad tem płótnem Gwida,
Cudem piękności olśniona, Ohyda

25.

Rwie sobie włosy i zawodzi jęki,
I swą pochodnię tłucze Eumenidy,
I zdychających wężów depcze pęki,
Chcąc się odżegnać od własnej ohydy...
A tu — różowa twarz młodej panienki,
Złote kędziory i... turban Numidy;
Piersi dyszących dziewicze misterja
Kryje bogata z brokatu draperja.

26.

Ten brokat, turban — są to akcesorja,
Które wprowadził malarz do obrazu;
Raziła jego snadź krwawa historja,
Więc okropności — ujmuje wyrazu.
Niemniej włos z jeża ci fantasmagorja
Wręcz fatydyczna, potworna — odrazu
Stawiąc przed oczy: krwawe rusztowanie,
Kata i — na pniu — tę głowę w turbanie...

27.

Ach! śliczna, słodka główka... Drobne rysy
Ni to Madonny, ni to odaliski;
Fascynujące usteczek zarysy;
A z pod brwi czarnych — cudnych oczu błyski,
Jakby z zdziwieniem wpatrzonych w cyprysy
Swej duszy młodej — a tak śmierci bliskiej —
Co gardząc śmiercią — zda się, że ją płoszy
Z paradoksalnym posmakiem rozkoszy.

28.

Dziwne spojrzenie... Toć pod tym turbanem
Mózg krawędziami już chodzi obłędu,
A włos się zwichrza jak ruń, gdy nad łanem
Jej — orkan wzbiera śród świstu i pędu!
Toć w tem serduszku, przez harpje szarpanem,
Piorun z krwawego porze się oprzędu —
I targa boskiem łonem pod draperją
Z niesamowitą jakąś efronterją!...

29.

Nie mówi o tem zdziwione spojrzenie,
I może właśnie dlatego — zdziwione...
Czy to złośliwy cynizm? czy natchnienie?
Że ignoruje męczeńską koronę
I świtające za grobem zbawienie —
Mając tę wzgardę za całą obronę
W iskrzących oczach, które na tem płótnie
Tak cię swym czarem druzgocą okrutnie...

30.

Takie iskrzące właśnie oczy miała,
Jak się hrabiemu zdawało w swych wizjach,
Jego małżonka wzgardliwie wspaniała
W rozterkach ducha i serca kolizjach.
Patrząc nań, zda się jego nie widziała,
Był dla niej niczem — acz w lubych precyzjach
Niegdyś ją pieścił i pozbawił dziewstwa,
Nie czując hańby ślubnego kurewstwa, —

31.

Zaiste! jakieś posłannictwo czarcie...
I w tem tragicznem uczuć załamaniu,
Powodującem haniebne rozdarcie,
Niemal grążące ducha w obłąkaniu —
Znajdował tylko jedyne oparcie:
Ta nieszczęśliwa żona przy skonaniu
Pozostawiła dziecię — był to synek
Do niej podobny — z nieba upominek.

32.

A więc małego Fredka ekstatycznie
Miłował ojciec. Ta miłość akcenty
Czasami miała jakieś spazmatycznie
Bolesne, czasem był to poryw święty...
Chłopak do matki podobny — prześlicznie
Zapowiadał się; miał różne talenty;
Był żywy, śmiały, natury namiętnej,
Bardzo ciekawy i bardzo pojętny.

33.

Z początku liczne bony-cudzoziemki
Miały go w swojej opiece; następnie,
Gdy chłopiec zrzucił dziecinne ciżemki,
Został przydany jemu nieodstępnie —
Jako proceptor — Polak (z matki Niemki),
Pan Rygier, rodem z Krakowa, — posępnie
Wyglądający, acz młody, — albowiem
Cały był jakby księżem pogotowiem.

34.

Miał pono obrać duchowną karjerę,
Wziąwszy stanowczy rozbrat z sztuki bractwem,
Pod której się był zaciągnął banderę
Z całem swej młodej duszy zawadjactwem.
Lecz rychło przejrzał tę całą aferę,
Co była tylko blagą i maniactwem,
I — zniechęcony — z grona ateistów
Uszedł, nękany ćmą ich gończych listów.

35.

Dosyć już miał tych genjuszów bez teki,
Improduktywów, bezpłodnych próżniaków,
Którzy z precyzją subjektów z apteki
Doili kozły do pustych przetaków. —
Im to w przeszłości niebardzo dalekiej
Zawdzięczał głośne imię stary Kraków,
Gdzie uczęszczano każdej nocy *pour la*
Bonne bouche kompanją całą do imć *Turla.*

36.

A im przewodził Przybyszewski, który
Jak tytan pienił się, wygrażał, huczał,
Wręcz łbem rozwalał filisterskie mury,
Jak prorok wolnej miłości nauczał,
Mszami czarnemi knajpiarskie Ahury
Przerażał, duszę swą nagą wywłóczał,
Toddy pochłaniał tuzinami szklanek —
Aż zbankrutował wreszcie Turl mopanek...

37.

Więc na ołtarzu «sztuki» swój dobytek
Zacny ów człowiek złożył — cześć mu tedy!
Muszę to imię wydobyć ze skrytek
I demonstrować choć napisem kredy.
Niech ludzie wiedzą, że ten dziś rozbitek
Motorem natchnień był całej czeredy,
Co — jako Młoda Polska — swą legendę
Miała, że, pijąc, łapała na wędę

38.

Tematy w whisky, konjaku, absyncie,
Ale — przy pustej chronicznie kalecie —
Zapominała w natchnień labiryncie
Rekompensować w brzęczącej monecie
Restauratora; a ten wciąż na kwincie
Rozczuleń grając, borgował — w sekrecie
Być może nawet przed swoją niewiastą —
Aż się poezja skończyła subhastą!

39.

I pan Turliński wyszedł z *pod Paona*
W marynareczce i spodenkach jeno...
Ale ta cała farsa zakończona
Została bodaj jeszcze lepszą sceną,
Bo i sam tytan, arcykapłan grona,
Też zbankrutował z swą nagą syreną —
I przestał czartów pod ogon całować,
Lecz jął dewotkom pończochy cerować.

40.

Nie uprzedzajmy jednak tych ekscesów.
Bo kiedy Rygier z Młodą Polską zrywał,
Ta u zenitu jeszcze swych sukcesów
Była — jeszcze Stach publiczność wygrywał
Swoim mistycznym bełkotem, — a biesów
Kabareciarskich wprost zapał porywał...
I nikt przewidzieć nie mógł, jak się skończy
Ten gest i poza w dantejskiej opończy.

41.

Bądź co bądź świadczy to dosyć korzystnie
O penetracji Rygiera i jego
Trzeźwym umyśle, że tak samoistnie
Tutaj podkreślił swoje skromne *ego*,
Zrywając z kliką, która nienawistnie
Będzie go teraz szkalować dlatego.
A on zniechęcon, nim księdzem zostanie,
Teraz na arcybiskupa wezwanie,

42.

(Który był pono Ponfickich kuzynem,
A mu użyczał łaskawej opieki),
Zjedzie do Czerczy, by wiedzy rozczynem,
Tym eleksirem z djabelskiej apteki,
Rozjurzyć mózgi malca niby winem
Poto, by jemu w przyszłości dalekiej
Rzekła ta wiedza z Sokratesa gestem:
«Wiem, że nic nie wiem — oto czem ja jestem!»

43.

Tośmy słyszeli już wszyscy; lecz efekt
Jest nieśmiertelny tego aforyzmu!
W nim tkwi ludzkości najstraszliwszy defekt —
Hańba wiekuistego futuryzmu.
Daremnie w szkole zachęca nas prefekt
Do odważnego myślą ikaryzmu —
Wszystko się skończy zawsze katastrofą...
Ale — dość będzie parać się tą strofą.

44.

Stary graf wybór kuzyna-mitrata
Zaakceptował skwapliwie, jako że
Sam upodobał wielce tego chwata,
Który szatańskie rzuciwszy bezdroże,
Politowania uśmiech miał dla świata.
Pomimo wieku, wyczuwał w nim może
Moc analogij z sobą — a te zwykłe
Najzamkniętszego serca kruszą rygle.

45.

I Rygier rychło swą powagą, taktem
Osiągnął całkowite zaufanie
Ojca. Syna zaś zjednał sobie faktem
Współkoleżeństwa, które niesłychanie
Subtelnym było we wszystkiem kontaktem,
Przyczem proceptor był na dalszym planie;
Niczem wręcz nie chciał krępować pupila,
Troszcząc się niewidzialnie oń co chwila.

46.

Słowem i ojcu i synu się nadał. —
Tak upłynęła czasu ilość spora;
Chłopiec się pilnie do nauk przykładał,
I bardzo przywykł do swego mentora.
Wreszcie pan stary, aby — jak powiadał —
Otrzaskać syna, uznał, że jest pora
Pchnąć go pod Wawel z domowej Chowanny,
By wstąpił do gimnazjum świętej Anny.

47.

A towarzyszył jemu oczywiście
Rygier; pod jego wciąż był Fred opieką.
Po egzaminach znalazł się na liście
Czwartoklasistów, mając nieco z greką
Kłopotu, który przezwyciężał z iście
Gracką brawurą człeka, co daleko
Mierzy; i kiedy był już w szóstej klasie —
Naraz stop!... Wojna wybuchła w tym czasie.

48.

Fred bawił wówczas w Czerczy na wakacjach.
Ojciec strwożony już go do Krakowa
Nie puścił; ale po deliberacjach
Z krewnymi (gdzie też Rygiera fachowa
Opinja dużo ważyła w swych racjach)
Umyślił wysłać do Genewy. — Zdrowa
Aura i fakt ów, że to terytorjum
Szwajcarskie, pozyskały audytorjum.

49.

I odpowiednio wyekwipowany,
Ujrzał się rychło na genewskim bruku
Pupil Rygiera, od ojca żegnany
Przy grzmiących armat gdzieś dalekim huku...
Nie przewidywał nikt jakie to zmiany
Niesie ta wojna — ale w praprawnuku
Cnych kasztelanów, gdy wyjeżdżał z Czerczy
I gdy jej szeptał czule: *reviderci!*

50.

Oh! serce biło mocno, bardzo mocno...
Czyżby przeczuwał, że już tu nie wróci,
Że pracę przodków wspaniałą, owocną
(Tu i przodkini niejedna się buci)
Wojna z fatalną ruchawką północną
Zburzy, zdruzgocze i wszystko rozrzuci
Na cztery wiatry ukraińskie — które
Jeszcze smutniejsze będą i ponure...

51.

Że ten prześliczny w swojej kokieterji
Niefrasobliwej, pałac rokokowy,
Bielą kolumnad i górnej galerji
Tak zdala widny, tak pełen wymowy,
Czerń podła odrze wewnątrz z boazerji
Ponsowej — stłucze posągi Canovy —
Obrazy, meble zniszczy — wkońcu z trupiej
Rudery okna, jak oczy, wyłupi...

52.

Że ta stadnina dobranych folblutów,
Na których hasał śród jarów i stoków —
A czasem (wedle relacji filutów)
Zjeżdżał się chyłkiem z Sonią Nienaroköff
Barysznią, co to u państwa Bebutów
W dworku uczyła dziatwę, rwąc się z oków —
Że ta stadnina ogromnie się przyda
Dla forpoczt Budiennego, kiedy wyda

53.

Sowiecka Rosja — w celu poniewierki
Całej Europy — Polsce bój śmiertelny...
Że te wiekowe dęby, lipy, świerki
W alejach parku, w swej nieskazitelnej
Chwale stojące śród liści rozterki,
Ruszanych wiatrem — ach! w złości piekielnej
Chłopstwo rozżarte wytnie — wydrze czule
Pnie nawet — by tam sadzić bób, cebulę...

54.

Że nimfy, gracje o kamiennem licu,
Na tle drzew onych, pośród kwietnych rabat
Odprawiające co noc przy księżycu
Zaiste, jakiś marmurowy sabat,
(Raz Fred tam nawet — no, mówię o frycu —
Jakoś przypadkiem za gorset czy kabat
Schwytał fertyczną pokojówkę Zochę
I... z nią się pono wycałował trochę.

55.

Pierwszy raz w życiu, przepełny *désastre*'u
Uczuć moralnych i rozkoszy dreszczów)
Że te posągi śliczne z alabastru,
Kopje dłuta najprzedniejszych wieszczów,
Czerń stłucze podczas krwawego kadastru,
Nie mając dla nich litości, ni trzeszczów...
Że wymorduje po stawach łabędzie,
Że słowem — nie tak już, jak było, będzie...

56.

Kto mógł to wiedzieć? przejrzeć? zgadnąć? — A! bah!
Nie było wtedy jeszcze Ossowieckich,
Ani pań de Tébes, jak królowa Saba,
Przewidujących mądrze i radzieckich.
A żadna stara w okularach baba,
Ciągnąc pasjanse w dworkach staroświeckich,
Nie wywróżyła wtedy z swych pamfilów
Nadejścia czasów czerwonych Attylów..

57.

Mnie moja babcia — gdym wtedy na wojnę
Ciągnął z Moskalem, jako rezerwista,
Na nocki chłodne i na dzionki znojne —
Patrząc na karty (przez łzy, oczywista),
Wręcz zapewniała, że czasy spokojne
Wkrótce powrócą, że wojna ognista
Wnet utknie — i nie porwie jej pieszczocha.
Pasjans był zgodny z wywodami... Błocha.

58.

Więc nie dziwota, że teraz nie wierzę
W ekonomistów strategiczne mrzonki,
Ani w pasjanse babć, w najlepszej wierze
Ciągnione, ani w ich zbożne koronki.
A niech nie mniema nikt, że mnie nabierze,
Żądając, abym tu jemu obsłonki
À la Słowacki odkrył swego *creda* —
Nie! Lepiej wróćmy do naszego Freda.

59.

On więc w Genewie od dłuższego czasu
Przebywał, ma się rozumieć, z Rygierem,
Któremu stary pan, śród ambarasu
Nadeszłej wojny, z tak wylaniem szczerem
Pono się wzdragał udzielić laufpasu,
Że zrezygnować znów musiał *interim*
Z sutanny oraz tonsury imć Rygier,
By być dla Fredka czemś, niby Aligier,

60.

W jego podróżach po obczyźnie, oraz
W rozlicznych perypetjach młodej duszy,
Która doświadczać tam będzie raz po raz
Tyle fascynujących animuszy —
Że ich nie zliczy i sam Pitagoras...
Wszakci powiedział któryś z genjuszy,
Że widzieć wiele krajów — więcej znaczy,
Niż skończyć tuzin wszechnic. — Nieinaczej!

61.

Więc główne locum swe mając w Genewie,
Tutor z pupilem w kolejnych wycieczkach
Wciąż rozmaitych miejscowości rewje
Czynili, przyczem bywali w miasteczkach,
O jakich modny Baedecker nic nie wie. —
Nie polegając na jego gwiazdeczkach,
Zwiedzili tedy w ciągu tych lat paru
Całą Szwajcarję od Aaru do Aaru.

62.

Te krajoznawcze ekskursje — z natury
Rzeczy — mogły być tylko sporadyczne,
Gdyż Fred dla uzyskania tu matury
Musiał odbywać dość systematyczne
Studja, wykuwać różne awantury
I historyczne i matematyczne,
Wokabuł greckich nosić z sobą sekstern —
Aż zdał egzamin wreszcie, jako ekstern.

63.

Wtedy odetchnął swobodniej — jak Goncourt,
Gdy na swem dziele kreślił: *fin.* — Szwajcarską
Zdobył maturę właściwie *hors concours*,
Ale ją sobie wyżej niźli carską
Cenił. — A jak rzekł niedawno Paul-Boncour,
Będąc w Warszawie, — że Polak ma dziarską
Duszę, acz zawsze bezinteresowny:
Właśnie był taki nasz Fred hazardowy.

64.

Teraz uczęszczał na uniwersytet,
Niezapisany na żaden kurs pono.
Był obojętny dlań kursu epitet,
Gdyż było jego strawą ulubioną
Wykłady, w których ważył autorytet
Lektora, oraz sam temat. — Koroną
Tych zajęć była więc *Komedja boska*,
Tudzież kampanja Bonaparta włoska.

65.

Poza tem słuchał wykładów o radjum —
O filozofji Schopenhauera —
O anatomji kobiety w tem stadjum,
Gdy ta jak pączek cudny się otwiera,
Wręcz wolę bożą mając za palladjum, —
O Aleksandrze Wielkim *et cetera.*
Do tego język studjował angielski,
Chłonąc poezji mnóstwo marzycielskiej.

66.

A jeszcze ciągłe dyskusje z Rygierem...
Tu proszę sobie wziąć *Niedokończony*
Poemat Krasińskiego — i ze szczerem
Zajęciem przerzucając jego strony,
Parę dialogów między Aligierem
A cnym Młodzieńcem przejrzeć. — Te histrjony
Najlepiej w nastrój nas wprowadzą tyrad,
Jakie toczyli Rygier i Fred — czy rad

67.

I nieznudzony niemi? Tego nie wiem.
Ale mu w duszy pewne wątpliwości
Coraz silniejszem pełgały zarzewiem,
I zgnieść ich Rygier nie mógł w zupełności.
Więc irytował się nad owem plewiem,
Zachwaszczającem brzydko duszy włości
Ślicznego, jak helleński bożek, chłopca,
Któremu wszelka ludzka rzecz — nie obca

68.

Już była. — A cóż u ludzkiego szczytu
Jest nad sceptycyzm? Nie wątpi głupota
Tylko... *Beati pauperus spiritu!...*
Que sais-je? Montaigne'a nie ćmi im żywota.
Zresztą *Przewodnik Katolicki* — sprytu
Dość ma, by dzierżyć rozemknięte wrota
Królestwa w niebie ponad ich głowami,
Sypiąc premjami, wierszami, figlami...

69.

A swoją drogą na zdenerwowanie
I młodzieniaszka i jego mentora
Wpływała w stopniu silnym niesłychanie
Wojna, ciężąca nad światem jak zmora.
Czwarty rok trwało w Europie strzelanie;
W Rosji nie było już imperatora;
Na forty Verdun — pod trupiemi sterty —
Próżno dzień i noc ziały ogniem *Berty*.

70.

Z Czerczy nie było wiadomości żadnej;
Nie dochodziły listy i depesze.
Więc w niepewności żyło się szkaradnej,
Chłonąc gazety w ciągłej bezuciesze.
Wprawdzie dwa razy obrotny, zaradny
Przedarł się do nich przez te bitne rzesze
Wysłaniec z Czerczy, starego hrabiego
Wierny zausznik, prawie *alter ego*,

71.

Pan Turkułł, dawny dóbr administrator,
Przywożąc listy i gotówkę fuksem,
(Zaprawdę, jakby prestydygitator!...)
To pozwolało żyć im z dawnym luksem;
Zwłaszcza Fred, koni i sportów amator,
Nie był od losu poczęstowan kuksem
Jeszcze ni razu w swych wszelkich zachciankach —
(No, oczywiście w możliwości szrankach).

72.

Lecz od ostatnich Turkułła odwiedzin
Właśnie upływał — ach! już rok z nawiązką.
Ruch w Niemczech, w Austrji wszczynał się gawie-
Europa cała stawała się grzązką. [dzin;
Wiało fermentem z wszystkich życia dziedzin.
Sowdepja w Brześciu pokoju gałązką
Poto machnęła, by u siebie w domu
Oddać się mordom i rzeziom — bez sromu.

73.

Gniotła ich tedy niepewność jak skała —
I wyjścia nie widzieli z tego stanu.
Lecz się Genewa z tem wszystkiem zdawała
Wyspą śród ognistego oceanu,
(Właściwie była nią Szwajcarja cała),
Gdzie bezpośrednio nie młodemu panu
Z Czerczy narazie nie groziło — i nic
Nie przeszkadzało czerpać z wiedzy krynic.

74.

Tem się więc tylko nasz bohater parał,
Zaciekle przytem uprawiając sporty.
Być może, że się oszołomieć starał,
Że dusza mu się, jak ukrop z retorty,
Rwała do boju — a tu go tak skarał
Los!... Właśnie gdy chciał do polskiej kohorty
Walczącej wstąpić, czując w duszy nakaz —
Właśnie mu Turkułł przywiózł ojca zakaz...

75.

A ta kohorta polska, czy tak zwana
 «Pierwsza brygada» z swym wodzem Piłsudskim,
Ta *Oda do młodości* w czyn wcielana
 Z ferworem lackim i uporem żmudzkim —
Tak uderzała fantazję młodziana!
 Tak rwała swoim impetem nadludzkim!...
I to tem bardziej, gdy z wydarzeń zbiegu
Narazie nie mógł stanąć w jej szeregu.

76.

Co było robić? — z Rygierem się spierać
 O celowości najlepszego z światów?
I wątpliwości swych się nie zapierać
 Co do pozagrobowych postulatów?
Lub w rozmarzonej swej duszyczce gmerać,
 Gdzieś na samotnych przechadzkach śród kwia-
Stwarzając obraz kochanki jak Rousseau [tów
Przed jej poznaniem — wyobraźnią kusą?...

77.

Bo prawdę rzekłszy, to jeszcze nasz Fredek,
 Acz miał skończonych już ośmnaście latek,
I widział wiele Niemek, Dunek, Szwedek,
 Francuzek, Włoszek i swojskich dzierlatek —
Rzekomo najsprawniejszych sercejedek...
 (Wiem to z Heine'go o Polsce notatek,
Bom prób podobnych — na własne ryzyko —
Nie przeprowadzał z żadną dobrodziką).

78.

Niemniej w wątpliwość żadną nie podaję
Tego, co Heine powiada o Polkach,
Choć to stoletnie z okładem ambaje,
Niegdyś z forysiem jeżdżące w karjolkach.
Dzisiaj demokratyczne są zwyczaje,
Na fox-trottowych świat toczy się rolkach,
Więc nie dziwota, że obecnie zmarniał
Typ Polki — mocno zbrzydł i zordynarniał.

79.

Kiedym niedawno przejazdem w Warszawie
Bawiąc, po *Nowym* spacerował *Świecie*,
Ach! nie spotkałem ani jednej prawie
Ładnej twarzyczki — co na to powiecie?
Chyba to, że czas zmienił się jaskrawie,
Że już nie buzia atutem w kobiecie,
Że teraz niema wręcz kobiety brzydkiej,
O ile tęgi biust i tęgie łydki

80.

Ma. Bo gdzie spojrzysz — tylko łydy, łydy,
Poobciągane w cieliste jedwabie,
Grube, pękate; ich ruchome glidy
Brylują w słońcu — w sprośnym bezpowabie;
Nadto dekolty u każdej Dorydy
Samcze popędy jurzą w lada drabie;
Więc w nie zagląda, pod suknię, pod pachę —
Tam *clou!* Zaś buzia — *eine Nebensache.*

81.

Zresztą ta buzia taka... ordynarna,
Wyrużowana jeszcze ordynarniej;
W niej zamaszystość zuchwale wulgarna,
A la mode dragan wierutny z kasarni;
Oczy się błyszczą, bo dwunożna sarna
Pędzi na ruję — na dancing w kawiarni:
O, jakaż szkoda, że takiej pannicy
Nie spotka teraz Heine na ulicy!

82.

Nie wiem: coby rzekł — do krocset carambów! —
Gdyby ją jednak ujrzał — rozczarowan;
Pewnieby z zbiorku swoich dytyrambów,
Co *Ueber Polen* jest zatytułowan,
Zrobił użytek — jak z Platena jambów
Niegdyś (patrz: *Reisebilder;* wynotowan
Miałem gdzieś rozdział z owym incydentem,
Tak opisanym pikantnie z talentem,

83.

Lecz się notatka gdzieś zawieruszyła —
Czytelnik znajdzie sam: niespory tomik!)
Ja zaś odbiegłszy od przedmiotu siła,
Muszę kwitować już z tych fizjonomik...
Jeśli Heine'go zaś puści mogiła,
To on się zemści, ten piekielny komik,
Za zawód przykry, że nie warto było
Jemu rozstawać się z swą trumną gniłą. —

84.

Takie dziś czasy podłe, powojenne —
Wszędy się ciebie brud i dyzgust ima...
Ach! warszawianki nawet — te promienne
Anioły ziemskie z modremi oczyma —
Zeszły już na psy, na klępy codzienne...
To już *corruptio optima pessima!*
Psst... to jest właśnie demokratyzacja — —
Ale mnie czeka przerwana naracja,

85.

Co to bujając z beztroską motylą,
Ogromnie traci na swojej zwartości.
Więc Fred — bom o nim był mówił przed chwilą -
Więc Fred, co widział tak dużo piękności
Różnych klimatów, kultur, — wdzięków tylą
Nęcących w całej swojej wytworności,
I choć porywał go Casti, Tetmajer —
Rozbrajający był w miłości frajer.

86.

W teorji wiedział jej wszystkie arkana:
Znał *Ars amandi* i *Decamerona,*
I *Kamasutrę* Vatsyayana,
No i *Physique de l'Amour* de Gourmont'a.
Dlaczego tedy była zaniedbana
Empirja?... Może żądza rozbudzona
Bała się jeszcze tych miłosnych cykut?
Może *il n'y a que le premier pas qui coute?...*

87.

Bo co się tyczy owego świadectwa
O tajemniczych dość spotkaniach z Sonią,
Nauczycielką domową z sąsiedztwa,
(Jeszcze tu nieraz potkniemy się o nią),
To jak wynika z dorywczego śledztwa,
Fred raz, zajęty na stepie pogonią
Za kozłem, zdybał przypadkiem na koniu
Ją, harcującą jak kozak po błoniu.

88.

Znajomość z miejsca — i pociąg wzajemny
Odrazu jakoś ich skuł samorzutnie.
On się jej wydał nad wyraz «przyjemny»,
Acz młokos w piórka męskości się butnie
Strojący; ona — nakształt toni ciemnej —
Ciągnęła jego «słodko i okrutnie».
Panna dojrzała, ładna i zmysłowa,
Istna na koniu Wenera stepowa.

89.

On imponował jej, jako panoszę
Z pysznego zamku, w tysiące dziesięcin
Zasobne, — jej, co uczyć za psie grosze
Musiała dziatwę śród nudów i smęcin.
Jemu zaś od niej pachniały rozkosze,
Które wyczuwał w... migotaniu pęcin
Jej skarogniadej wierzchówki, gdy obok
Mknęła w lansadach śród jarów i opok.

90.

Wyczuwał błogo i — fatalistycznie,
Gdyż serce biło odgłosem tych kopyt
I kołatało się tak skandalicznie —
Jakby już w piersiach rzucało swój pobyt.
Ach! porywało go coś ekstatycznie,
Zjawiał się bóstwa głód, rozkoszy popyt —
A cudne oczy dobrej harcowniczki
Ofertowały podaż bez zaliczki...

91.

I pewnieby go, Laszka-żółtodzioba,
Ta ukraińska Hudyma uwiodła,
Gdyby nie wojna (bodaj ją choroba!),
Co wszystkie szyki pomieszała podła.
Więc nagły wyjazd, rozstania żałoba...
Miłość swą pierwszym pocałunkiem z siodła
Przy pożegnaniu uwieńczyli skromnie,
Szepcząc wzajemnie: Nie zapomnij o mnie!

92.

«*Ach! ach! nie zabud' ty mienia, hołubczyk!*»
Mówiła w trakcie całowań się z konia.
«Z Moskwy przyjeżdża do mnie jeden kupczyk —
Uosobiona życiowa ironja...
Ale ja... *Szto mnie etot postnyj supczyk*
W żizni?! Mnie pachną te cudowne błonia...
Kak tut czudiesno! kak dusze prostorno!...
Doprawdy życie jest farsą potworną...»

93.

Miała łzy w oczach... Targnęła munsztukiem,
Tnąc jednocześnie szpicrutą świerzopę,
Która zdumiona tak nagłym ofukiem,
Jakby zmieniona raptem w antylopę,
Dębiąc się, dała skok przepysznym łukiem,
Unosząc wichrem, kiej Jowisz Europę,
Zdenerwowaną pożegnaniem pannę,
Sypiącą na nią razy nieustanne...

94.

Więc się skończyło wszystko na idylli. —
Mogłoby wprawdzie nie skończyć się na niej;
Tak mało nato trzeba — jednej chwili,
Znikomej chwilki, by wpaść do otchłani...
Zwłaszcza, kiedy się sprowokować sili
Młokosa — sama panna, nakształt łani
Zgrabna, powabna, o wydatnym biuście,
W bardzo a bardzo apetycznym guście.

95.

Byłbyż Fred tedy bez temperamentu?
Nieimpulsywny? nieciekaw tajemnic?
Co właśnie w czasie *pubertas* — akcentu
Dostają, rwąc się z swych dziewiczych ciemnic,
Jak potępione anioły z odmętu,
Z pod gorsów, spódnic — pikantnych foremnic,
Którychś wpierw, smyku, nie darzył uwagą,
A teraz w każdej widzisz — Wenus nagą!...

96.

Szatki zazdrosne tych przebranych menad
Przepalasz bowiem swym ognistym wzrokiem,
Gdzie bądź je zoczysz — w alejach promenad,
W domu, w kościele... w wzruszeniu głębokiem;
Spalasz bez żadnych ceremonij, żenad,
Bez dymu nawet, patrząc gołem okiem —
Na co?... Niech kropki za odpowiedź starczą
I mnie dyskretnie ochronią swą tarczą

97.

Przed pociskami oburzonych matron,
Które gniewały się już razy tyle!
Że powieściowy ten swój ekspres-patron
Śmiem w tak rozsnuwać zdrożną krotochwilę. —
Novalis, wszystkich dusz anielskich patron,
Znał już je: *Uns're Reize zu verhüllen*
Schreibt die strenge Mutter vor — tak córunie
Skarżą u niego w cnej dziewictwa łunie

98.

Swoje mamusie — i nie bez igraszki
Drwiącej dodają, że próżna robota!
Bo choć swe wdzięki kryją w różne łaszki,
Te rwą się z więzów, niby kula złota; —
A na nie zewsząd już czatują gaszki,
Któremi sroga niecierpliwość miota...
Oto jest awers i rewers medalu —
Myśl, co chcesz, o tem, mędrcze w każdym calu,

99.

Mój czytelniku!... Ja zaś w tym kierunku
Nie mając żadnych co do siebie złudzeń,
Zaznaczę tylko na umór frasunku
Pięknych dam (które nie lubią marudzeń)
Że — acz w męskości chadzając rynsztynku —
Fred oczekiwał wciąż wiosny przebudzeń
Bynajmniej nie dła braku apetytu
Do płci nadobnej — i raczej dosytu

100.

Bał się. — Bywają czasem, jak widzicie,
Organizacje podobne, co broją
W fantazji bardzo bujnie, nieskrowicie,
Nazewnątrz zimną przyodziane zbroją —
I które na swej niewinności szczycie
Paradoksalnie z nią rozstać się boją,
I tą w skrytości chełpiąc się koroną,
Etiamsi omnes — wołają — *ego non!*

101.

Chełpią się jako święty Piotr — i jak on
Najczęściej depczą te swoje przechwałki.
Ale do czasu — jak szampana flakon —
To ich upaja, wynosi nad śmiałki...
I choć czas przyjdzie, że pęknie ów zakon,
Że ktoś do prochu przytknie błysk zapałki
I od eksplozji aż zadrgają szyby —
Do czasu jesteś nadczłowiekiem niby.

102.

To twej młodzieńczej jakże schlebia dumie!...
Oh! jakaż rozkosz wznieść się ponad trzodę
Zacnych ludzisków, co się gryzą w tłumie
O kęs pieczeni, o dziewczyn urodę, —
Kędy się wzniosłość jak *business* rozumie,
A przedewszystkiem czci paryską modę, —
Gdzie niby głosi altruizmu hasła
Banda filutów bezczelnie opasła...

103.

Ha! ha! Acz takiś jeszcze młody wiekiem,
Czujesz z promieni nimb nad swojem czołem;
Duch twój się wzbija nad tym ohyd stekiem,
Nic cię nie wiąże z tym wstrętnym padołem:
Jeśli tam małpy — czujesz się człowiekiem,
Jeśli tam ludzie — czujesz się aniołem;
Ogarnia ciebie natchnień szczytna podaż — —
Za kawał d... to stracić — nie szkodaż?

104.

Ach! bo kobieta strąci cię z tych szczytów —
Ściągnie w to bagno, w to błotko cuchnące —
Stawi przed ołtarz dla spojenia nitów
Małżeńskich — da ci miodowe miesiące,
Kastrując ducha w łożu sybarytów —
Wtłoczy po uszy w spraw głupich tysiące —
Stadkiem bękartów osypie pomuchem —
Słowem: zrobi cię przykładnym mieszczuchem,

105.

I z gestem wdzięcznym Maryń czy Anielek
Sienkiewiczowskich — i nie bez powagi
Tych «służby Bożej» szanownych czcicielek —
Odda na locum twej duszyczce «nagiej»
Swój przerozkosznie zgrabny pantofelek...
Tam będziesz siedział — nakształt Kyzlar-agi
W Stambule — pończoch jej studjując ażur,
Mając nad głową ze spódnic abażur.

106.

Zaiste, locum cudowne!... Gdy oczy
Do góry wzniesiesz — powiedzieć nie mogę
Co tam zobaczysz w tej ciemni uroczej,
Czując zapewne «boski» dreszcz i trwogę...
Wiem tylko, że nie ujrzysz nieb roztoczy,
Kędy się gwiazdy plączą w mleczną drogę,
Nie ujrzysz słońca, ni nawet księżyca:
Wszystko ci szczelnie zasłoni... spódnica.

107.

Pod tą czarowną — acz mroczną — kopułą
Siedzieć więc będziesz, istoto duchowa!
Przejęty taką egzaltacją czułą,
Że ona ci się wyda — jak tęczowa.
I z *de profundis* będziesz mógł fistułą
Hymn intonować, pożyczając słowa
Od Słowackiego (juści w pewnej mierze
Je trawestując — w jak najlepszej wierze).

108.

Będziesz więc stamtąd wołał: «O! tęczowa
Kopuło spódnic, tyś moim kościołem! —
Wymalowana, jasna, kolorowa,
Nad srebrnym duszy wisząca aniołem,
Modlitwą w tobie są rozpaczy słowa,
Serce wygląda jak urna z popiołem,
W najtajemniejszej kaplicy stojąca —
Tak jesteś, gdy cię żaden wiatr nie trąca.

109.

«Lecz kiedy burza zawieje i zruszy
Z tasiemek ciebie, kopuło tęczowa,
Pękasz jak niebo nad aniołem duszy;
Próżno się broni w błyskawicach głowa...»
Nie dziw, że taką poezją się wzruszy
Twa magnifika, czuła białogłowa,
I na cię zleje łask swych cały zapas,
(Bylebyś nie wziął w konkluzji nóg za pas...)

110.

Zapewne Fred nasz, acz tak jeszcze młody,
Wszystko to sobie zgrubsza uprzytomniał.
Niemało na ten młyn też puszczał wody
Mizogen Rygier, kiedy sobie wspomniał
Swe własne w życiu miłosne zawody.
A też i Szopenhauer nie zapomniał
Sączyć w młodzieńca swej wzgardy dla kobiet,
Z których uważał każdą wręcz za sto bied.

111.

Ale te wszystkie uprzedzenia w duszy
Alfreda pierzchły na widok Alicji.
Klęknijcie lub uchylcie kapeluszy
Przed czarodziejką, co — wierna tradycji —
Chwyta w swe sidła cnych Prometeuszy —
I ich przemianą w kiernozy się szczyci!...
Każdy z nas spotkał w życiu taką firkę,
Która dlań była dobroczynną Kirke.

112.

Co?... tyś nie spotkał jeszcze, czytelniku?
To my cię w zbożnej otusze podeprzem —
Nie martw się! Jeszcze staniesz na świeczniku
Swoich przeznaczeń — jeszcze będziesz... wie-
Ona cię kiedyś zdybi na przesmyku [przem!
Życia i... Ale dość szafować pieprzem!
Wszakci podobno to rada najlepsza:
Stara sentencja: Nie pieprz, Pietrze, wieprza,

113.

Bo i t. d. — Więc *cum grano salis*
Ciągnijmy dalej rzecz o naszym Fredzie,
Który się z miejsca zakochał w miss Alice —
I czuł się rajsko w tej sercowej biedzie;
Roił i tęsknił górnie jak Novalis;
Zdawało mu się, że go jakaś wiedzie
Cudowna gwiazda — istna *stella maris*,
Co się na niebie przewierzgała w zarys

114.

Słodkiej, powiewnej Alicji. — Fantazjo!
O jakże miłość doppinguje ciebie!
Jaką dotyka idjosynkrazją
Do rzeczy ziemskich! jak poziomość grzebie!
Jaką upaja cudowną małmazją
Parę kochanków w wymarzonem niebie!
A poto cała ta potrzebna farsa,
By przykuć tego śmiesznego komparsa,

115.

Co gwiazdy z orbit miał strącać zuchwale,
Mocniej do ziemi, istotnym uczynić
Glebae adscriptus. — Niech Cyrce, Omfale,
Którym na sercu leży świat zaświnić,
Spełniają swoje posłannictwo — ale
Jak tu o straszne podejście nie winić
Przyrody?! Jak ten ohydny kalauer
Nie napiętnować à la Schopenhauer!...

116.

Wprawdzie nie każdy z nas Prometeuszem
W młodości bywa, do nieba po laury
Nie śpieszy, ani roi z animuszem
Jak Alcyd dusić hydry i centaury;
Czasem jest bardziej zajęty funduszem
Niźli wdziękami swej gołąbki Laury,
I w eterycznych regjonach kochania
Do «mistycyzmu» nie ma przekonania.

117.

Taki być może jest rzeczy porządek...
Lecz choć w miłości zawsze kiepski koniec,
Niemniej wspaniale rozkoszny początek
Bywa — niebiosów uskrzydlony goniec!
I za ten miraż krótki, za ten wrzątek
Uczuć, stygnący jak w grudnie zaskroniec,
Za ten błysk cudny, pełny przeniewierzeń,
Oh, biedni! wielbmy miłość bez zastrzeżeń.

118.

Faut de mieux to nam zostaje... Cóż robić?
Trzeba świat takim brać jak *in concreto*
On się przedstawia. To nie sztuka pobić
Rekordy w mrzonkach — i świetną paletą
Swej wyobraźni wszystko złocić, zdobić
I najmiłośniej obcować z kobietą,
Jakiej na podsłonecznym jeszcze świecie
Nie było. Wszystko to są głupstwa przecie...

119.

Z tego nie zdawał sobie wręcz nasz pan Fred
Sprawy — i kochał jak prawy romantyk,
Jak Stenio pani Sand lub Bajr'na Manfred,
Lub inny biedermeierowski antyk
W XX wieku . . . .
. . . .
No i, doprawdy, jaki traf niegodziw,
Że muszę tu swe zgorszenie czy podziw

120.

Wyrażać zapomocą kropek, bo jak
Nożem ciął, zbrakło mi rymów — ani rusz...
Żartka Diana, jak zwalczony wojak,
Wionęła, rezygnując z laurów i róż.
Tuszę, że żaden mi po lutni swojak,
Żaden poeta, choćby mu antyruż
Po norwidowsku twarz martwił — a włos miał
Najdłuższy — sykaćby tutaj nie pośmiał.

121.

Więc kiedy rymy, te «groszowe cacka»,
Jak to je Verlaine zgłupia frant nazywa,
(Dezynwoltura jego — iście gracka,
Lecz trafność sądu — więcej niż wątpliwa) —
Mnie opuściły tak zdradnie znienacka
(Z rymami tak jak z kobietami bywa)
Muszę się przerwą salwować w aferze,
Robiąc, rzecz prosta, *bonne mine au mauvais jeu*...

122.

Więc w trzeciej pieśni znów się zobaczymy,
A teraz «padam do nóżek» tak sprytnie,
Jakgdyby Kraków był mój gród rodzimy,
A «w Widniu'm» jadał sznycle przeambitnie...
W pieśni tej będą juści świeże rymy,
Z których niejeden taką woltę wytnie,
Że udobrucha was za strajk dzisiejszy,
Który mej sławy przeto nie pomniejszy.

123.

Zresztą cóż sława? Ha! wiemy coś o tem:
Mgnienie, ułuda, dym, *sic transit gloria;*
Dzisiaj przed tobą padają pokotem,
A jutro?... Jutro — oh! znana historja...
Zresztą ta powieść nie olśni was lotem
Swym, jak cudowna barw fantasmagorja;
Wcale z Słowackim nie idę w paragon,
Tem mniej z Ariostem — jestem prosty szlagon...

124.

Więc Orlandowej tu żadnej powtórki
Zgoła nie będzie, lecz — polskie realia.
Tedy: sarmatyzm, kwaszone ogórki,
Z bolszewikami śmiertelna batalja,
Grabski, rodaków łupiący ze skórki,
Krajem rządząca sejmowa kanalja,
Desygnowane na ministrów chłystki,
Prasa kołtuńska, komunistów świstki —

125.

Słowem, społeczna mizerja z przekisłą
Inteligencką na powierzchni pianką,
Co czyn narodu, z krwią jak gejzer trysłą,
Bohaterskości będący przesłanką,
Kwalifikuje, jako... «cud nad Wisłą», —
Z dostojnych książąt kościoła falangą...
Tak ją zdumiło to «polskie» zwycięstwo,
Że woli wierzyć w cud, niż w własne męstwo!...

126.

A to się wszystko tapla gdzieś w pomroczu,
Bo cień ogromny jakiegoś człowieka
Tu pada, który stoi na uboczu
I chociaż milczy, zda się na coś czeka;
Skry z pod krzaczastych brwi mu idą z oczu,
Ręka na szabli, droga niedaleka —
I znać, że kiedy wreszcie krokiem stąpi,
Los dalszych «cudów» Polsce nie poskąpi.

127.

Oto co w gadce tej będziecie mieli,
Jako tło różnych przeżyć bohatera,
Miłosnych dziejów z Alicją i Nelly,
Przygód wojennych, sławy *et cetera.*
Niejedna Polka też oczkami strzeli,
Gdy ujrzy w kraju tego kawalera —
Małoż to mamy Maryś i Anielek
Sprawniejszych pod tym względem od Angielek?

128.

Czy i piękniejszych? Nie! tego nie powiem,
Choć mię ten i ów patrjota zhasa, —
I niech to sobie zacięży ołowiem
Na mem sumieniu polskiem... Polek krasa —
Słusznie! — bywała rozkosznem wezgłowiem
Dla tego lub owego lowelasa,
Lecz... najpiękniejsza dla mnie białogłowa:
To miss angielska — wytworna, rasowa...

129.

Ale dość będzie tych ekspektoracji!
    Sam nie poznaję siebie w swych oktawach —
I to jest dla mnie rodzajem sensacji:
    Jakto? ja, taki skryty w wszelkich sprawach,
Tak wypaplałem bez najmniejszej racji
    O planowanych na przyszłość wyprawach
Swoich na Parnas, kiej stara kumoszka?...
Prawda! golnąłem dziś szampana troszka...

PIEŚŃ TRZECIA

1.

Właśnie gadałem przed chwilą z wydawcą
O poemacie tym, którego trzecią
Pieśń na warsztacie mam — i chcę, łaskawco,
Ująć cię znowu swoich rymów siecią.
Ów pan edytor jest poezji znawcą;
Wielki pan, wcale nie trąci waszecią,
Ani ohydnem wzięciem nuworyszka,
Choć swoją drogą jest szczwany — jak liszka.

2.

Poczęstowawszy mię tedy cygarem
W swym gabinecie (cygaro przewonne
Było, gabinet zaś tchnął owym czarem,
Który tak zwane «audjencje poronne»
Obwijać zda się watą i fularem,
Insynuując sympatje niepłonne),
Ów pan mi mówił z rękopisem w ręce,
Znać formułując opinje naprędce:

3.

«Kto w tych parszywych powojennych czasach...
Excusez! — syknął nie bez nonszalancji —

Roi o znawcach sztuki? mecenasach?...
Dziś decyduje cham o elegancji...
Mecenasostwo dziś iści się w masach,
Dla których kostropatej ignorancji
Proletarjacki wieszcz tnie niby-ody,
Wręcz arytmiczne, bezrymowe płody.

4.

«To uważane jest za szczyt poezji
I tak jest modne, jak jazzband lub kino,
Jak pani Besant w hinduskiej ferezji
Albo bożyszcze snobek, Valentino.
Tu się nie gmera, rzecz prosta, w finezji,
Tem mniej na świństwa reaguje śliną,
Jeno nelsonem w piegowatej łapie
Za «jurne» karki «szlagiery» się łapie.

5.

«To jest poezja! I ta się drukuje,
Jak w cyrku lub na wyścigach — programy;
Ma na widoku oczywiście szuję...
Ale cóż począć! Wiek XX mamy,
W którym się wszystko demokratyzuje.
Więc i poezja musi z wielkiej damy
Dystyngowanej, wytwornej, subtelnej —
Stać się szyfonem gdzieś z Złotej czy z Zielnej.

6.

«Z serduszka pychę zrzuciwszy wyniosłą
I pożegnawszy się z Parnasu szczytem,

Musi biedaczka uprawiać rzemiosło.
A jej adepci z cielęcym zachwytem
Manifestują tę zmianę doniosłą,
Że już się stali fest z fabrycznym sznitem
Robociarzami w bluzach — jak się patrzy,
Podszyci Marksem — każdy cali na trzy.

7.

«Już się zjechali — oto, masz pan, stoi
Jak wół w *Kurjerze* — kędyś w Pławowicach,
I cech poetów ku radości swojej,
Przy pełnych wina czy piwa szklanicach,
Do życia powołali. Mnie się roi —
Zaśmiał się, choć miał powagę na licach —
Że poczynanie to jest wielce grząskiem:
Poprostu cuchnie zawodowym związkiem.

8.

«Poezja przecie nie jest żadnym fachem;
Nic niema bardziej indywidualnego
Nad poetycką twórczość... Czyż jej krachem
Nie jest więc cech ten, gdzie się każde *ego*
Autorskie ma stać związkowym wałachem?
Niech proletarjusze świata całego,
Niech szewcy, krawcy, fryzjerzy, atleci
Modnie zrzeszają się! Ale — poeci?!...

9.

«No i zapewne «jurny» cech poetów
Wnet zafunduje sobie sztandar przedni

(W Polsce sztandarów więcej niż prewetów —
To entuzjazmu dowód bezpośredni...)
I będzie w kraju cnych analfabetów
Furorę sprawiał może najbezwiedniej,
Niosąc ów sztandar w dniu 3-go maja —
Tak to plac Saski z poezją się spaja.

10.

«No i być może, że niedługo czekać,
Jak cech poetów władnie postanowi,
Ażeby w Wilnie z pomnikiem nie zwlekać,
Ale z pomnikiem nie Mickiewiczowi,
Lecz... *Nieznanemu Poecie.* — Oblekać
Trzeba swe hołdy w marmur jak najzdrowiej...
Tak-tak! przemawia za tem wszelka racja,
I jest na czasie taka inowacja,

11.

«Gdy Pegaz wozi, zaprzężon w platformę,
Komunistyczną bibułę, mój panie,
Aby przyśpieszać socjalną reformę,
Bo teraz «walka klas» na pierwszym planie.
Ba! już uchodzi powszechnie za normę
Pięcio-przymiotnikowe głosowanie,
Wszechzawodowe związki robotników,
Strajki państwowych nawet urzędników,

12.

«No i tak zwane «chore kasy». — Szczytnie!
Polska w tej mierze przoduje na globie

I nowe drogi wytycza ambitnie
    Cywilizacji będącej na dobie.
A że w ferworze głową w ścianę wytnie
    Czasem, to z tego nic nie robi sobie —
I w dalszym ciągu jej tupet nie znika,
Bo łbem skrwawionym w mur tryka i tryka...

13.

«Jest to jak niedźwiedź, co — szukając czemby
    Połechtał język — lezie na barć gracko,
Pod rozwahaną bitnię, co go w zęby
    Wali raz po raz z brawurą furjacką.
Już ma wybite oko i krew z gęby
    Ciurkiem się leje iście desperacko —
A on wciąż na niej siedzi, prażon dalej,
Aż nieprzytomny na ziemię się zwali...»

14.

W tym sensie prawił mój interlokutor.
    Czytelnik przyzna, że był elokwentny,
I że nie można jemu rzec: *Ne sutor*
    Ultra crepidam w sposób beznamiętny.
Bądź co bądź bowiem ów poezji tutor,
    Jako obrońca jej, był konsekwentny.
A mnie uderzył w tych jego wywodach
Szczegół o naszych poetów pochodach

15.

Z nowym sztandarem w dniu 3-go maja,
    A choćby nawet w dniu Bożego Ciała.

I wyobraźnię mając za lokaja,
Zamknąłem oczy — i wnet przewspaniała
Ekscytujących barwnych widzeń zgraja
Przed wzrokiem mojej duszy zajaśniała:
Na placu Saskim przed Mościckim w fraku
Szli nasi wszyscy poeci do znaku.

16.

Była to w czasów dzisiejszych zaduchu
Coś jakby wizja anhellicznych cudów,
Na podobieństwo wizji w *Królu-Duchu*
Mieczysławowej, gdzie dwanaście ludów
Idzie ten za tym w dziejowym łańcuchu,
Z symbolem w ręku natchnień swych i trudów —
Tak tu dwunastu poetów współczesnych
Ciągnęło teraz śród tłumów bezkresnych

17.

Na placu Saskim — a jaśniał nad niemi
W blaskach słonecznych, jak chwały proporzec,
Sztandar, świecący szychami złotemi,
Osypan perły ze szkła (było z korzec!) —
Emblematami komunistycznemi
Z jednej swej strony jakby chciał się orzec,
Kiedy natomiast z drugiej — Przenajświętsza
Panna migała z ciężkich skrętów wnętrza.

18.

I wiatr łopotał błyszczącym sztandarem,
To ukazując jego lutą czerwień,

Ziejącą zda się bezczelnym pożarem
Jakichś bestjalskich ohyd i rozścierwień, —
To Pannę Świętą, częstochowskim czarem
Tchnącą w rdzeń czułych ludowych unerwień;
I tak te wizerunki nieskrowicie
Skłębiał, jakby je chciał stargać w błękicie.

19.

A zaś poeci szli jeden za drugim,
W takim porządku i tak przystrojeni:
Pierwszy był... ale zda mi się za długim
Ten wstęp, słuchacze być może znudzeni!
Więc tedy trzeba za jednym abcugiem
Wyrwać się z koła tych widzeń czy cieni —
I zacząć bujać o przerwanym wątku
Fredowych przygód w wzorowym porządku.

20.

A tam w przyszłości, w dygresji stosownej
Może ów pochód bardów gdzieś się wklei,
Nie przeciążając w sposób ryzykowny
Balastem luźnych gawęd — epopei.
Czytelnik spragnion fabuły kunsztownej,
Nie znosi żadnej w jej toku zawiei —
Lecz ten zaczęty już poetów opis
Musi pozwolić gdzieś wsadzić na popis.

21.

Fred, zakochany po uszy w miss Alice,
Juści że tej afery nie uważał

Za jakiś w życiu swem *casus fatalis*.
    Owszem, coraz się cudowniej rozmarzał
I na podstawie doraźnych analiz
    Spojrzeń, uśmieszków, słówek panny — stwarzał
W swej duszy z jakąś rozkoszą tajemną,
Iluzję, że mu panna jest wzajemną.

22.

A panna była cudna co się zowie,
    Tak śliczna, jak to zazwyczaj w romansach
Bywają heroiny-aniołowie,
    Nad ziemią bujające w reweransach.
Jak piękną była — ach, któż to wypowie!
    A ile wdzięku tkwiło w jej *nuance*'ach,
Któremi w wzięciu swem igrała — niby
Żongler mieczami — zawsze bez pochyby!

23.

Wysmukła, strojna, ślicznie zbudowana,
    O blond przepysznych jedwabistych włosach,
Co — rozplecione — falą za kolana
    Spadały złotą — po ramion obciasach;
O cerze białej, jak kaskady piana,
    Co leci w przepaść po granitów stosach;
O piersiach, krnąbrnie wzdymających stanik,
Śród słodkich dreszczów i rozkosznych panik,

24.

Jakby w koszuli były Dejaniry
    I z niej się chciały wyrwać bez dyspensy

Za wszelką cenę... a oczu szafiry —
Cudnie oprawne w czarne brwi i rzęsy,
Jakgdyby gwiazdy w letniej nocy kiry —
Ekscytowane temi precedensy,
Wgłąb się grążyły dusznej analizy,
Mając za maskę — uśmiech Mony Lizy.

25.

Więc z tym uśmiechem w oczach szafirowych,
Niedocieczonym uśmiechem Giocondy,
O rysach greckich i ustach ponsowych,
Przy kibitności węża anakondy —
Alicja była, jakby z tych rasowych
Piękności, które Reynolds'y, Richmond'y,
Reaburne'y uwiecznili w konterfektach,
Przy najzuchwalszych swej sztuki efektach.

26.

A zwłaszcza Reaburne! — świetny, czarujący,
Tak mało znany — niemal tajemniczy,
Pod lodowatą powłoką — gorący,
Niby to splennik — a pełen słodyczy.
W swoich portretach żeńskich czyhający
Na duszę Piękna — koronę zdobyczy,
Na wyraz oczu i finezję gestu —
Na tle brabanckich koronek szelestu.

27.

Ten wielki szkoły angielskiej artysta
Wygląda niemal jak mit, jak legenda;

Wszystkie obrazy jego — oczywista
Arystokracji angielskiej habenda —
Są pochowane po jej zamkach. Mglista
Oraz niepewna tu bywa kwerenda;
A w Narodowej Galerji w Londynie
Niemasz go, tak jak w Luwrze i w Berlinie.

28.

A on... on jeden, nie bez buty kpiarskiej,
Może tu stanąć obok Gainsborougha,
Tej chwały Anglji najwyższej malarskiej,
Tego wyszłego z tęczy Malborougha...
Jak tamten jest on w kolorycie dziarski,
Niedościgniony *magnus parens* — uha!
I choć nie szczyci się błękitnym malcem [1],
Jest jak ów w barwnych efektach — zuchwalcem.

29.

Jest on wspaniałą syntezą Rubensa
I Leonarda da Vinci. — Lecz dosyć!
Wciąż po manowcach mój rym się wałęsa,
A teraz zmyślił Reaburne'a wynosić.
Za ten akcydens wszak mi ani pensa
Nie da wydawca, a krytyk ogłosić
Gotów, że jestem, jak się patrzy, *wsypan* —
Choć dziś nie tknąłem konjaczku, dalipan...

---

[1]) «Blue boy» — słynne arcydzieło Gainsborougha.

30.

Alicja w analogji do Reaburne'a
Też oczywiście przedstawiała w sobie
Pewną syntezą. Ta wielce chimerna
Była, gdyż w jednej łączyła osobie
Uśmiechy niebios i tchnienia inferna:
Słodycz dziewczęcą w anielstwa ozdobie —
I tchnący żarem pokus, nieskrowity
W rozkoszy, powab greckiej Afrodyty.

31.

A więc zmysłowo kusząca, ponętna,
Pełna dystynkcji i wytwornej gracji,
Niewymuszona, czasem trochę smętna,
Jakgdyby w jakiejś duchowej prostracji —
Była też zgoła pozbawiona piętna
Pospolitości w całej swej postaci,
I zachwycała genewskich gigerlów:
Comte'ów, *vicomte*'ów, baronów i *earle*'ów,

32.

Wręcz nadziemskiemu podobna zjawisku.
Zaiste, była królową sezonu
W tem międzynarodowem środowisku
Najświetniejszego *fashion*'u i *bon-ton*'u.
Spragnieni oczu jej przecudnych błysku,
Obces cisnęli się do stóp jej tronu,
Jakgdyby w jakiejś przebożnej misji,
Zarówno młodzi i starzy dandysi.

33.

Chwytała wszystkich, może być bezwiednie,
Na lasso ócz swych — któraż tak nie czyni? —
I triumfalnie wlokła, niby przednie
Trofea, za swym rydwanem bogini.
Oświadczającym się — wręcz bezpośrednie
Czyniła enuncjacje (co w opinji
Zwykle uchodzi pannie w pierwszej fazie).
Że... o miłości nie myśli «narazie».

34.

Co?... o miłości?!... A tu o małżeństwie
Już roił jakiś lord i dwu markizów,
I jakiś książę, co był w pokrewieństwie
Z Bonapartami, i hrabia Denizów,
Co umknął z Rosji po krwawem zwycięstwie
Sowietów, z kraju przywożąc Kirgizów
Dwie nałożnice i brylanty spore,
Które powszechną sprawiały furorę;

35.

I jakiś baron niemiecki — zarazem
Poeta (wiersze jego chwalił kajzer),
Ten zmiękczyć pannę chciał swych mąk obrazem
I sonetami buchał, niczem gajzer:
Zapewniał, że jest jak balonik gazem
Rozerwan, ale w strzępach serca — *treu, sehr*
Treu swej miłości, co go z każdą chwilą
Rwie wzwyż... (Był tłuścioch: ważył 200 kilo);

36.

I jakiś Rumun, brunet smagły, śniady,
Do Maupassant'a podobny, jak ulał,
O karych wąsach, pełen gracji, swady,
Co z miljonera gestem w klubach hulał;
I jakiś hrabia węgierski Arady,
Który się najboleśniej w sobie skulał
Po otrzymanej ostatnio rekuzie...
I inni. (Wszystkich nie zliczyć mej Muzie).

37.

A jakże w owych lowelasów stadku
Czuł się nasz Fredek, niezrównany frycek?
Że nie najgorzej — domyślaj się, bratku!
Hoży i śmigły, niby w boru rydzek,
Najmłodszy wiekiem — a nadto w dodatku
Najurodziwszy pośród tych «szlafmycek»,
(Jak swych rywalów niezbyt wielkodusznie
Nazywał w duchu, być może, niesłusznie) —

38.

Aż nadto wiedział, że jest wyróżniany
Przez pannę; chociaż to z przedziwnym taktem
Czyniła. — Byłżeż naprawdę kochany?
Czyli przyjaźni i wdzięczności paktem
Jeno zaszczycan? Przeróżne na zmiany
Miał supozycje — tem bardziej, że faktem
Było — acz sama nie mówiła tego —
Że gdzieś w Egipcie ma... narzeczonego.

39.

Młody jedynak bogatych lordostwa,
O dynastycznem nazwisku nieomal,
Był tu skutecznym wynikiem swatostwa
Uwieńczon — ale chorował na *haut mal*.
A kiedy tego djablego chorostwa
Nie mógł powściągnąć luminal ni bromal —
Kazano panu młodemu przed ślubem
Pojechać w podróż w utrapieniu grubem.

40.

Lekarze tego chwycili się środka,
Gdyż częsta zmiana *milieu* oraz wrażeń
Działa kojąco — i z nerwów ośrodka
Dobywa siły własnych przeobrażeń.
Ta zaś kiedy grunt podatny napotka —
A to się dzieje w sferze wyobrażeń —
Uzdrawia niemal cudownie organizm,
Skuteczniej niż brom i wegetarjanizm.

41.

Więc spons Alicji gdzieś aż w Indostanie
Bawił, szukając fakirów pomocy,
Ażeby wreszcie odbyć zmartwychwstanie
I podźwigniętym zostać z złej niemocy.
Sił dodawało mu szczere kochanie,
Które świeciło, tak jak gwiazda w nocy
Promienna, złota, cudownie się mieniąc —
Niby sezamów szczęścia złoty pieniądz.

42.

Alicja o tem — chociażby w aluzji
Najdalszej — nigdy nie czyniła zwierzeń.
Może nie mogła wręcz przyjść do konkluzji
W przedmiocie swoich najbliższych zamierzeń...
To też Fred o tem w niełapszej konfuzji
Cośniecoś chwytał z uwag i spostrzeżeń
Nelly, która mu ukazała wkońcu
Całą rzecz w prawdy zwierciadle — jak w słońcu.

43.

Wogóle Nelly z samego początku
Okazywała mu widoczne względy.
Czy to przez wdzięczność temu niewiniątku,
Że ją ratował z topieli w te pędy?
On się nie troskał w swoich myśli wątku
Owem pytaniem — i unikał wędy,
Jak mu się zdało, tej rozkosznej wdówki,
Połknąwszy przedtem haczek *Buklijówki.*

44.

Czuł mimowoli, że tylko dlatego,
Iż serce własne było już zajęte.
Bo gdyby nie to... Ciarki po nim biegą
Bywało na tę myśl — kiej bąki cięte.
Nie widział bowiem bardziej palącego
Oka... a piersi jak rozkosznie wzdęte!
A jakie kształty tej bachantki Nelly —
Juści piękniejsze niżeli... niżeli...

45.

Co prawda nosek był trochę mięsisty
I czoło może za niskie — ale te
Braki potęgowały w oczywisty
Sposób wrażenie całości; — kobietę
Akcentowały z finezją artysty,
Jako zmysłową nad wszystko *poulette*'ę,
A przytem — o nie! — wcale nieprzeciętną,
Mającą w sobie mocy wyższych piętno.

46.

Byłże to może tak zwany demonizm
(Epitet modny: snob mię nie ofuknie),
W którym się płci objawia antagonizm
Skrą piorunową w fibr serdecznych włóknie?
Tem bardziej gdy się wda tu protekcjonizm,
Mający jako premia: krótkie suknie,
Cielisty jedwab pończoch i dekolty —
Zdobycze modnej już wówczas rewolty.

47.

Słowem, się odznaczała przedewszystkiem
Tem, co się zowie fizycznym powabem
W kobiecie — i jest najlepszym lubystkiem;
I czego w raju jakby echem słabem
Były droczenia się z figowym listkiem...
Czyli poetą jesteś, czy Geldhabem —
Przyznasz to w formie mniej lub więcej ścisłej,
Że taki powab djablo jurzy zmysły.

48.

Lecz Fred pogrążon w Alicji z kretesem,
Nie wiedział jak nim jest mocno zajęta
Nelly, jak mu się narzuca obcesem
Z radami i jak niemi wprost go pęta.
On się nie gorszył jej żadnym ekscesem,
Ani też rolą miłego natręta,
Co rad wybada sekrety najskrytsze,
Aby je potem pokrzyżować chytrze.

49.

Ach! zakochani zawsze potrzebują
Mieć powierników na tym smutnym świecie.
Ich serca muszą wygadać, co czują —
Zwłaszcza, jeżeli je niepewność gniecie,
A wciąż miraże rozkoszne czarują;
Człowiek się wówczas staje jako dziecię:
Nie chce pozorów, tych podłych najemnic,
I nic nie robi sobie z swych tajemnic.

50.

Nelly więc będąc w kursie spraw sercowych
Freda, radziła mu z wielkim naciskiem,
By się rozmówił z panną «w rzeczach owych»
I od niej samej dowiedział o wszystkiem.
Lecz on w obawie rozwiania różowych
Iluzyj — jakby piorunowym błyskiem,
Nie mógł się na to zdecydować za nic,
Choć się tem w sobie żarł i gryzł bez granic.

51.

Tak stały rzeczy, kiedy dnia pewnego
Wysłannik z Czerczy zjawił się w Genewie.
Czuć odeń było, jak od ducha złego
Czemś strasznem... Choć nic właściwie się nie wie
Jeszcze, już mrowia ci po kościach biegą,
Już serce całe w piorunów ulewie,
Nudności jakieś chwytają plugawe,
Niby kłąb gadów, wołających: ave!

52.

Zda się, żeś łyknął parę haustów rtęci,
Lub w płuca wciągnął trującego gazu,
Nogi pod tobą drżą, głowa się kręci,
Wzrok skamieniały, usta bez wyrazu...
Tymczasem nikt się dokoła nie smęci
I nic nie mąci sielanki obrazu:
Cisza... jak zawsze słonko cudnie świeci,
Fala gdzieś pluszcze, mewa śnieżna leci,

53.

Gondola czeka na spacer wieczorny
Samowtór z piękną Alicją — u brzegu:
Będzie śmiech, żarty i flircik wytworny,
I zachodzące słońce w swoim biegu
Śród lazurowej pustyni jeziornej,
I gór wierzchołki z purpurą na śniegu,
Dalekie, cudne w swej wieczystej krasie...
«Co panu? pan dziś w jakimś ambarasie?

54.

Taki milczący, posępny...» Tak spyta,
Zezując ślicznie złotemi szafiry
Swych ócz, Alicja, błękitnem okryta
Capé, w gondoli, którą wodne wiry
Huśtają lekko. «Dusza w duszy czyta,
Więc w myślach pana widzę jakieś kiry...»
Zapewnia, patrząc na młodzieńca tkliwie.
Fred puścił wiosła i pobladł straszliwie.

55.

A że i przedtem był już bardzo blady,
Więc jakby tchnieniem śmiertelnem owiany,
Spojrzał na swoją nimfę dobrej rady,
W mordędze dusznej łamiąc się z szatany.
Przecie te oczy cudne — są bez zdrady!
Przecie to serce... Jak furjami rwany,
Chwycił za rączkę w szarej rękawiczce
I, klęcząc, szepnął swej orędowniczce:

56.

«Kochałem ciebie, najdroższa...» — «Kochałem?
A więc nie kochasz...» Zrobiła ogromne
Oczy, podana zda się sercem całem
Ku mówiącemu. — «Niech ci uprzytomnę,
Jakie nieszczęście jest moim udziałem...
Najdroższa! nigdy ciebie nie zapomnę
I kochać będę do swych dni ostatka,
Tyś mi kochanka, i siostra, i matka...

57.

«Tak, bom jest teraz nędzarz i sierota,
Zgnięty nieszczęściem w serce niby kulą.
Prysła młodości mojej wizja złota,
Już mnie marzenia żadne nie utulą...
Dziś przyniósł, omal nie zbywszy żywota
W drodze, klejnoty kryjąc pod koszulą,
Nasz sługa z Czerczy wieść niesamowitą,
Że Czercza w gruzach, a ojca zabito.

58.

«Czerń bolszewicka, krwi chciwa, rozżarta,
Do Czerczy wpadła z chłopstwem zbuntowanem.
Wszystko zginęło, jak pod tchnieniem czarta,
Pod tym czerwonym z piekieł huraganem.
Nie dziw. że dusza moja dziś rozdarta,
Żem gotów choćby śpiknąć się z szatanem,
Ażeby pomścić śmierć swego rodzica —
Ach! zemsta pali mię jak błyskawica...»

59.

Tak mówiąc, klęczał w bujającej łodzi,
U stóp pobladłej panny niespodzianie,
I obejmował — bezwiednie — najsłodziej —
Kolana boskie, kładąc głowę na nie...
Ona ją w dłonie ujęła — i łkanie
Jęło nim wstrząsać, czając się jak złodziej
W piersi biedaka, który się łez wstydził
I — łkając, rwany bólem, — z siebie szydził.

60.

Bo jakże tutaj nie szlochać, u licha!
 Temu, co był niedawno *bene natus*
I — jak lokucja tradycyjna wzdycha
 Melancholijnie — *et possessionatus,*
Gdy teraz bieda tłoczy go, w dół spycha,
 Podnosząc do wysokiej miary gradus
Rozczarowania gorzkiego, pomimo
Że jest tak młody i z pewną estymą

61.

Patrzy na swoją młodość. O, młodości!
 Ty — cudem życia, które też jest cudem,
Więc do kwadratu nim jesteś... Świętości!
 Któż cię śmiał zszargać kiedy przekleństw bru-
Choćby się pławił w cynizmie i złości, [dem,
 Choćby przebijał się z największym trudem
Przez życia cierni — i w braku doppingu
Na tym wyścigu — żgał siebie z brauningu.

62.

Ach! wiem (a skąd wiem — tego wam nie powiem;
 Dosyć, iż wiem), że każdy samobójca,
Gdy w skroń swą mierzy morderczym ołowiem,
 Z wyżyn swojego mrocznego ogrójca
Ogląda nagle, jakby olśnion nowiem,
 Swą młodość... i ten już na wszystko plujca
Waha się, z sobą pasuje, nim szpryngla
Da śmiertelnego, pociągając cyngla.

63.

A często-gęsto ta cudowna nimfa
 Wstrzymuje palec na cynglu — i denat,
Co już za życie swe nie dawał tymfa,
 Znowu zaczyna pląsać w kole menad,
Znowu krew wrąca w nim krąży, nie limfa —
 I będzie on, jak cny jego antenat,
Adam, przez dalsze życie płodził dzieci,
Aż wiekuista mu światłość zaświeci...

64.

Nie omieszkała tedy rozanielać
 Ta wieszczka rojeń posępnych studenta,
Roztaczać wizyj cudnych, które wcielać
 Rzekomo miała przyszłość uśmiechnięta...
A że nasz heros nie myślał się strzelać,
 Była to tem skuteczniejsza zachęta,
Przepełna jakiejś drażniącej ekspresji —
By się salwować z gniotącej depresji.

65.

I Fredek pewno przy lada okazji
 Da się z padołu rozpaczy porywać
Nadgwiezdnym wichrom młodzieńczej fantazji...
 O jakże lubo pośród gwiazd przebywać,
Pijąc z puharu marzennej małmazji!...
 O jak rozkosznie jest swój los wyzywać
I wołać, walcząc z przeznaczeń demiurgiem:
«Ja będę swoim Rudolfem Habsburgiem!»

66.

Napoleońska samowystarczalność
    Znać cechowała naszego młodzika.
O! nie dzisiejszych to dudków mentalność,
    Kiedy się wielkich gestów tak unika
Jak ognia, kiedy bezmyślna trywjalność
    Święci triumfy — i aż do równika
Kult «nieznanego żołnierza» rozciąga:
Schlebiając sobie, wielkości urąga.

67.

W powodzi ciężkich po wojnie zawodów
    Biedni ludziska dziś na to skazani,
Że muszą słuchać bzdurstw Ligi Narodów
    (Tej kuźni matactw w elokwencji taniej),
A spacerując śród miejskich ogrodów,
    Zdejmować czapki w ekstazie baraniej
Przed pomnikami nieznanych żołnierzy,
Według przepisu ściśle — jak należy.

68.

A jeśli komu z emocji nadmiaru
    Słabo się zrobi przy takich praktykach,
Jeśli dostanie — strzeż Boże! — udaru
    (Niebezpiecznego bardzo w swych wynikach),
A choćby tylko zołzów lub kataru:
    Nie wie o swego szczęścia matecznikach,
Bo oto będzie mógł w abcugach skorych,
Jak Dant przez piekło, przejść przez Kasę chorych!...

69.

Mnie, com w świątyni swej wznosił ołtarze
Ku czci wspaniałej Nieznanego Boga
I czołem biłem w marmur... o, figlarze!
Nie wam mnie nabrać z waszego trójnoga...
Nawet w Bolszewji jest Lenin — po carze!
Jego się tumba tam święci złowroga,
Lecz nie jakiegoś żołnierza-nieznanka,
Jak to Europa czyni obłąkanka —

70.

Ta ogłupiała po wojnie z kretesem,
Ta «miss Europa», co konkursy łydek
Pań proklamuje — i z wielkim sukcesem
Tańczy jazzbanda, czując coś z hybrydek
W sobie, — dla której pierwszym interesem
Jest, by new-jork'ski ją wspomagał żydek
I finansował jej tańce i wolty:
«Dla zażegnania światowej rewolty...» (!)

71.

A kraik polski, znany z fanfaronji,
Jakżeżby nie miał Europy małpować?
Jakże nie pośle swojej «miss Polonji»
Na targowisko świata sprezentować?
Jakżeż śród jazzbandowej kokofonji
Nie będzie najwulgarniej dancingować
I nie obnażać swojej pustej głowy
U jakiejś płyty fikcyjnej, grobowej?...

72.

Instynktem swojej rasowej *noblesse*'y,
Serca zmyślnością, intuicją boską,
Alice się w Freda wczuwała *finesse*'y,
Jakby Giulettą była szekspirowską —
I reagując szybkiemi karesy,
Nad głową jego pochylona z troską,
Usta mu wonne — gdyby róże z krzaka —
Podała... piekąc morderczego raka.

73.

I długo, długo w boskim pocałunku
Te dwie przepyszne głowy połączone
Były. Prześliczna grupa w modelunku,
Przedstawiająca Psyche czy Safonę...
Rozkosz tam drgała w najwyższym gatunku,
Zawrotna rozkosz, mająca koronę
Bolesną z cierni. Bo rozkosz najwyższa
Na boleściwem podłożu się ziszcza.

74.

«Więc nic nie może być z naszej miłości...»
Podjęła panna po długiem milczeniu.
Mówiła prawie szeptem i w żałości,
Zdając się wręcz mieć duszę na ramieniu;
Oczy spuszczała przytem w zależności
Od wyrażanych myśli w przemówieniu;
Również rumieńce — w kolei niezwykłej —
To się jawiły na twarzy, to nikły.

75.

«Wiem, że od Nelly wiesz wszystko... Wiesz, że ja
Narzeczonego mam, że on jest chory.
W Bogu jedynie o niego nadzieja,
A Bóg — jak również wiesz — nie bywa skory...
Tu znów ta z tobą nieszczęść epopeja,
Te bolszewickie strzygi i upiory —
O Boże! jakże jestem nieszczęśliwa...
Doprawdy, jakaś wściekłość mię porywa!...»

76.

Tutaj wskoczyła z siedzenia, jak tknięta
Chyżą sprężyną, — i w chwiejnej gondoli
Stojąc, cudownie rozpaczą natchnięta,
Jakgdyby posąg anielskiej Niedoli,
Kusiła już nadziemsko uśmiechnięta:
«Chcesz?... jam gotowa... niech nas śmierć ze-
Rzućmy się razem w te fale jeziora!... [spoli...
Nie...?! Więc wiosłujmy, bo... na obiad pora».

77.

Parsknęła krótkim, spazmatycznym śmiechem —
I na swe miejsce opadła zpowrotem.
A śmiech ten jakiemś zgrzytającem echem
Dźwięknął szydersko ponad fal mamrotem,
Które się jęły rozgarniać z pośpiechem
Przed łodzią, partą miarowym nawrotem
Wioseł do brzegu, gdzie w willi *Beauregard*
Właśnie wydzwaniał czas obiadu zegar.

78.

Czy spożywali obiad z apetytem —
Nie będę nad tym głowił się problemem.
(Fred pono nie jadł nic i nie pił przytem;
Miss zaś raczyła certować się z kremem).
Lecz wolę susa dać z Chochlika sprytem
I olśnić wszystkich frywolnym ekstremem:
Proszę się sobie wyobrazić właśnie
W pokoju Freda w nocy. — Tu wyjaśnię

79.

Że on i Rygier od dłuższego czasu
Mieszkali w willi tej samej, gdzie z całą
Swą świtą nimfy mojego Parnasa,
Alice i Nelly, popasały. — Stało
Domostwo owo pośród kępki lasu,
A raczej parku, świecące się biało
Na zboczu wzgórza, nad samem jeziorem;
A nazwa willi nie była pozorem,

80.

Gdyż widok z okien lokandy — a zwłaszcza
Jej górnych pięter — był iście wspaniały.
Wzrok się w świetlistej dali zaprzepaszcza
I wraca jakby z rozkoszy omdlały.
Jeziora w zwojach złocistego płaszcza,
Żaglowce, mewy, góry, zbocza, skały —
Wszystko się w pysznej jawi panoramie,
Jakby z aniołem zachwytu pod ramię.

81.

Więc proszę sobie wystawić Alfreda
W jego pokoju w tej rozkosznej willi,
O późnej nocy, gdy cała czereda
Mieszkańców domu już śpi w onej chwili.
On jeden nie śpi — czuwa nad nim bieda
I słowik, który w gąszczach parku kwili,
Kędy w alejach księżycowe światło
Jakimś skabrycznym widmom służy za tło.

82.

W pokoju lampa promienna się jarzy;
Okno otwarte; luba woń kwietników
Zionie z ciemności z tchnieniem bliskiej plaży;
Szmer fal się miesza z trelami słowików...
Ach, noc cudowna! — o takiej się marzy
Zwykle poetom dla pary młodzików,
Co to się mają zejść na pierwszej schadzce,
Nie wiedząc, że czart czai się w zasadzce...

83.

Fred bez surduta, jeno w kamizelce,
Siedział za stołem i coś pisał żywo.
Był oczywiście zdenerwowan wielce...
Do tego rękę miał dziś nieszczęśliwą,
Bo «żydy» sadził ogromne jak cielce,
Albo wbrew rygom rzecz prowadził krzywo —
I w rezultacie darł młodzieńczyk żartki
Zdefektowane, welinowe kartki,

84.

Miotając niemi jak śniegiem w podłogę;
Poczem zaczynał pisać na odwider.
A tuż na stole, inspirując trwogę,
Leżał rewolwer fabryki *Gebrüder*
Stolzenberg et C. (nabit — stwierdzić mogę);
Dalej rozwarty tomik *Buch der Lieder;*
Na nim rzucony, znać przed chwilą zdjęty,
Kołnierzyk, tudzież krawat w jasne skręty.

85.

Okropną wieścią z Czerczy zdruzgotany,
Nadto podrażnion dziwacznym wybrykiem
Alicji, która w roli wprost narwanej
Dziś postąpiła z nim, jak nigdy z nikiem.
(Krok godny juści największej nagany,
Ale zarazem może być wskaźnikiem —
Jakie to rozgrywały się nieboskie
Komedje w duszy tej wrzkomo beztroskiej

86.

Panny). Fred teraz właśnie pisał do niej
I uzasadniał w gorączkowym liście —
W którym litery, jak kopyta koni,
Zdały się pląsać i miotać ogniście —
Dlaczego nie chciał dziś z łodzi do toni
Skoczyć: — ach! jemu o nią oczywiście
Chodziło, o jej życie przenajdroższe...
«Ja — pisał — wcale sobie nie zazdroszczę,

87.

«Że się znalazłem w tak głupiej pozycji,
I mogłem snadnie być wzięty za tchórza.
Pomyśleć: tchórzem być w oczach Alicji!...
I choć insynuacja ta mię wzburza
Do dna, rwąc fibry serca nikiej nici —
Niemniej w tem sercu przecudowna róża
Słodkiego szczęścia wonieiąc rozkwita
I mnie, Alicjo, twym uśmiechem wita.

88.

«Najukochańsza! jakąż czuję błogość
Na myśl, że usta twe się jeszcze żarzą,
Że uśmiech na nich — nie śmierci złowrogość!
Uśmiech, o którym aniołowie marzą...
Ja odwróciłem ślepych losów srogość,
Co skazywały cię z lubością wrażą,
Jakby w piekielnej jakiej błyskawicy,
Na los królewny Wandy, topielicy.

89.

«Czy bohaterstwo me było tchórzostwem?
Les extremes se touchent — może powiesz na to
Z właściwem sobie w ironji mistrzostwem,
I mnie przenikniesz zgrozą lodowatą...
Nie było ono niem, ani sobkostwem —
Jeno miłości bezbrzeżnej objatą
I poświęceniem najwyższem — ażeby
Były dwa szczęścia, a nie dwa pogrzeby!...

90.

«Prawda, nie dzierżę cię martwej w ramionach,
Kędyś w spleśniałym mule dna Lemanu,
Już nie znajdując w tego świata tonach
Zgoła wyrazu dla swej duszy stanu...
Lecz za tę słabość — wolę sam być w szponach
Rozpaczy, wolę dać duszę szatanu,
Wolę w łeb sobie wypalić w hazardzie — —
Byleś mnie tylko nie miała w pogardzie...

91.

«Kiedy to piszę, broń na moim stole
Leży nabita — tylko sięgnąć ręką,
Tylko wysilić minimalnie wolę...
O moja droga! jakąż jestem męką
Objęty... W jakiem to zaklętem kole
Muszę się miotać, mamiony jutrzenką
Różanozłotą, którą czy na niebie
Ujrzę dziś świtem — nie wiem!... Kocham ciebie...

92.

«Kocham! — to jedno wiem... Precz mi upiory
Ohydnej śmierci — ja się was nie boję!
Kocham — i w szczęścia tęczowe kolory
Swą ukochaną jak anioła stroję...
Straciłem ojca, fortunę, splendory,
Wszystko, co miałem — i jestem, jak stoję,
Nędzarz na bruku genewskim — cha-cha!
Kocham... Niech czarty znają swego bracha!...

93.

«I choć w boleściach sercem się rozpękam,
Urągam czartom, upiorom, złym losom...
Jeno przed tobą, ukochana, klękam
I błogosławię twym złocistym włosom,
I oczom, których... miłośnie się lękam,
I twym ramionom — roztwartym niebiosom,
I rubinowym twoich ust uśmiechom,
I czarującym twym słówkom, i śmiechom.

94.

«I błogosławię twojej wielkiej duszy,
Której ci chyba zazdroszczą anieli,
A która tak ma dość ziemskiej katuszy,
Że rada strasznym pieniądzem Ofelji
Płacić za bilet do zaświatnych głuszy...
O, nie!... nie wolno ci cielesnej delji,
Co świat olśniewa, jako cud widomy,
Rzucać na pastwę mogiły łakomej!

95.

«Niech będę tchórzem, poziomcem, bez wstydu,
No — czem chcesz tylko... jeno żyj, kochana!...
Ja się nie boję oszczerstwa, ni szydu —
Ja wszystko zniosę, szarpiąc się do rana,
Do świtu dzisiaj... A gdy zniknę z glidu
Twych wielbicieli — nie bądź nadąsana!
Łzy mi piekące błyskają z pod powiek...
Ja kocham ciebie! kocham!... Otom człowiek...»

96.

Odrzucił pióro gorączkowym gestem,
I za rewolwer porwał impetycznie:
Z rąk poleciała mu pochwa z szelestem,
A czarnem szkliwem błysła stal skabrycznie...
Tu już, doprawdy! w ambarasie jestem:
Muza się moja jąka spazmatycznie —
Taka z niej jeszcze naiwna prostaczka,
Że mi gotowa zemdleć nieboraczka...

97.

A powojenne panny dziś nie mdleją,
I na Wertherów patrzają z pogardą,
(Którzy za niemi pewno nie szaleją);
Modą jest teraz być oschłą i twardą.
Przytem się solą ziemi rozumieją,
Gdy, jako druchny, postawnie i hardo
Walą na mustrze — pyszne widowisko! —
Każda z plecakiem, strzelbą i... kołyską.

98.

Hm-hm! mosanie, nie strój z tego drwinek!
Przysposobienie wojskowe — to era
Nowa dla naszych Maryś i Alinek;
Ona da Polsce pannę-bohatera
Bez długich włosów, koafiur i szminek,
Bez długich spódnic, dessous, et cetera; —
Nawet bez piersi, którym wróży zanik
Pewien wojskowy instruktor-mechanik,

99.

Nawet bez... tu w intencji nienagannej
Kropki mi z pióra lecą gdyby bąki...
Z przysposobienia wojskowego panny
Prześcigną tedy dawne Amazonki,
Co w strzelaninie z łuku nieustannej
Pierś zatracały lewą — jak postronki
Mając muskuły i łydy żylaste:
Kiepski materjał na «wdzięczną» niewiastę.

100.

A Polki — Polki przyszłości — prześcigną
Te dziwotwory mityczne — o Boże!
Niech tutaj śmiechem wszystkie djabły rzygną
I zawieruszą tę strofkę, jak morze
Wichry szalone, niech po oczach migną
Kroplami słonych fal w dzikim ferworze
I niechaj ujrzę, niby w łysku szabli,
Jak ostatecznie wszysko biorą djabli!...

101.

Porzucam tedy z kroplą słoną w oku
Nasze «griaduszcze» panny- bohaterki,
Co jeździć będą — oh! straszny widoku!
Przepełny grozy i dusznej rozterki! —
Na czołgach-tankach, sypiąc w bitew toku
Miast bomb z gazami — z likworem cukierki;
I tak tem ujmą swoich nieprzyjaciół,
Że zbachorują się wszystkie, jak naciął... —

102.

I duchem wracam do swego herosa,
O którym, tuszę, że mi nie zwiał jeszcze,
Z nabojem we łbie, na roki Minosa —
Ale przedzgonne uczuwając dreszcze,
Siedzi w fotelu, ofiara Erosa,
Ujęty w nieszczęść rozpalone kleszcze;
Brauning nabity przykłada do skroni,
Czuje dotknięcia chłód i — myśli *o niej*.

103.

Hm... sytuacja nie z przednich. Sam nie wiem,
Pod jakim kątem mam na nią spoglądać.
Miło rendez-vous miewać pod modrzewiem
Z bogdanką — i jej jak nieba wyglądać;
Miło jest delektować się zarzewiem
Jej dziewiczego łona — i pożądać
Ust świeżych, wonnych, nakształt róży rdzenia,
Ogniem wionących, jakby od niechcenia;

104.

Miło jest, kiedy przyjdzie do całusów,
Lubą ich konstatować apetyczność
I jednocześnie błysk ocząt-turkusów,
Oraz przepysznej talji elastyczność;
Miły jest wreszcie dalszy ciąg zakusów,
Jeśli po temu służy okoliczność:
Lecz śmierć-matula... żadna mi z nią randka!
To nie ognista Maryś albo Wandka...

105.

Tak, nie jest niemi. Ale czem właściwie
Jest śmierć? Fizjolog tobie wytłumaczy
Tę kwestję bardzo potrafnie, treściwie —
No i przywiedzie ciebie do rozpaczy.
«Jakto? — zawołasz w bolesnym podziwie —
I mnie też czeka taki los sobaczy,
Nie przymierzając jak psa, żółwia, móla —
Mnie? wszechstworzenia — rzekomego króla?!»

106.

Oh! fizjologja psuje ludziom humor.
(Los tych, co zwykli stać w prawdy obronie).
Lecz jak lekarstwo jest na darcie, tumor —
Tak na nią środek jest: ksiądz na ambonie!
Ten w jej przesłankach srogi czyni rumor,
Twierdząc, że nowe jest życie po zgonie.
Wprawdzie bez pulchnej gospodyni Salci
I bez gorących krupniczków... Tych żal ci?

107.

Żal?... Tedy ruszaj z przedkościelnych piazzet,
Mój panie bracie, po lepszą pociechę
Do Mahometa. Toci łebski facet!
Przelicytuje on odrazu klechę,
Twym postulatom użyczając *placet*.
Przyczem ujawni tę dodatnią cechę,
Że ci po śmierci niejedną obieca
Salcię — lecz kopę ich... Ot, będzie heca!

108.

A to nie będą tępe, korpulentne,
Jak to zazwyczaj gospodynie księże,
We wszystkich swoich *allure*'ach przeciętne,
W których się jeno mdła zdawkowość lęże.
Lecz dziewy raju, huri przenamiętne,
Jak sen przecudne, z łonami jak węże
Gibkiemi — ogniem rozkoszy ziejące,
I w swych uściskach «bosko spalające».

109.

Tak autentycznie stoi w alkoranie,
Księdze natchniętej przez samego Boga,
Którą Mahomet pod dyktę, mój panie,
Pisał — i to ci do zbawienia droga.
Nadto dodano tam, że są jak łanie —
Owe hurysy — gdy je chwyta trwoga,
I jak anioły — gdy w objęciu lecą,
I jako gwiazdy — gdy łonami świecą...

110.

I juści będą tam zbędne krupniczki,
Z miodem i cynamonem przyrządzane,
Gdy ciebie owe raju przewodniczki
Porwą w obroty sobie tylko znane...
Więc nie tak straszne są wieczności drzwiczki,
O których takie krążą zakazane
Powieści. Mnóstwo wersyj *pro i contra:*
O filozofjo, zgadnij! Będziesz mądra...

111.

O filozofjo, jedyna ostojo
Bytu, wszelakich hipotez przyciesie,
Najszacowniejsza myśliciela zbrojo
W tym ciemnym ludzkich złud i przeczuć lesie,
W którym ludziska jak szaleńcy roją!
Toć przecie w twoim leży interesie.
O filozofjo najzdrowszego sensu,
Mnie pomędrkować użyczyć konsensu!...

112.

A filozofja-staruszka cóż na to
Szepleni swemi bezzębnemi wargi?
O! nie jest ona taką zuchowatą,
By twe ze śmiercią rozstrzygać zatargi.
Dawno orzekła, że to czasu stratą
Jest, głucha na wsze protesty i skargi,
Mając za godło (rację każdy przyzna
Takiemu godłu) — robak i zgnilizna.

113.

No i przypuszczam, że Fred w chwili owej,
Gdy chwytał brauning, odrzucając pióro,
Nie miał w swej głowie idei gotowej,
Sformułowanej wyraźnie. — Brawurą
Sam imponował sobie w bezwyjściowej
Pozycji z jakąś wściekłością ponurą —
I repetycję generalną wszczynał,
Eliminując z niej wszelako finał;

114.

(Tym się manipuluje, jak w grze asem).
Z samobójcami tak najczęściej bywa;
Choć nie przesądza to faktu, że czasem
Zdarza się taka chwila nieszczęśliwa,
Ot, mgnienie... nerwy... i strzał huknie basem,
Zmieniając szopkę w tragedję prawdziwą:
Biedak za mocno dotknął palcem cyngla —
I dał niechcący na tamten świat szpryngla.

115.

Tak, mniemam, było niegdyś ze Szpicnaglem,
Druhem wileńskim Słowackiego Julka,
Co samobójstwa okrył czarnym żaglem
Swoją historję z różą — (a to mulka
Właściwie była, konwenansów maglem
Wysztyftowana!) — Żałobna dryndulka
Poterkotała w zaświaty z uciechą,
W *Godzinie myśli*, budząc smętne echo. —

116.

Jak stały rzeczy z moim bohaterem —
Napewno nie wiem. Luźnych supozycji
Zaś nie podaję, będąc sercem szczerem
Jemu oddany. — Dość że był w pozycji
Najtragiczniejszej: do łba z rewolwerem
Przytkniętym marzył o boskiej Alicji;
I tak już marzył z dobrych minut siedem,
Gdy wtem... zgrzyt klamki u drzwi wstrząsnął Fre-
[dem.

117.

Był to właściwie szelest przedyskretny,
Tak lekki, pełen cnej premedytacji,
Jakgdyby drżący w obawie szlachetnej
Niepogłębiania Fredowej prostracji.
Zda się ktoś długo stał w misji sekretnej
Pod drzwiami — wreszcie, gdy cierpliwość traci,
Naciska klamkę tak — jakby ta klamka
Brauningowego była cynglem zamka.

118.

Drzwi uchylały się wolniutko, z pewną —
By tak rzec — gracją a może finezją.
Fred wskoczył z miejsca z miną wielce gniewną,
Gotów ofuknąć intruza z frenezją,
Co śmiał mu przerwać oną scenę rzewną,
Tak pulsującą wehmiczną poezją;
Fatalny brauning odjęty od skroni,
Ściskał nie wiedzieć poco w drżącej dłoni.

119.

A w drzwiach, jak w niebios uchylonej szparze,
Jakaś się postać ukazała w bieli,
Zdało się — anioł w białym peniuarze!
Była to cudnie uśmiechnięta Nelly...
Jak raz godzina druga na zegarze
Biła śród kląskań słowiczej kapeli,
Które — jakgdyby na jej powitanie —
Huczną fanfarą jękły niespodzianie.

120.

A ona z miejsca jednym oka rzutem
Chwytając grozę Freda położenia,
Westchnęła tylko, bo gardło zasutem
Uczuła jakby kłakami z płomienia —
I rozpostarłszy ramiona, z wyrzutem
Serdecznym, pełna miłosnego drżenia,
Skoczyła k'niemu — zaś peniuar w skoku
Spadł... ukazując ją w nowym uroku.

121.

Bo nóżki, z których zgrabności tak słynie,
Miała zupełnie bose — i... i była
Tylko w... koszuli — w jednej koszulinie!!...
Znać tak z pod kołdry tylko co wskoczyła...
W wyciętym gorsie piersi, jak w witrynie,
Błysły, a innych różnych czarów siła
Rwało się wichrem z pod śnieżnej koszuli,
Jedwabiem szeleszczącej jak najczulej...

122.

Tem bardziej, że jej śliczna właścicielka,
Nie przymierzając, była jakby w transie, —
Jakby rozkoszy lejdejska butelka,
Demonstrowana na rajskim seansie,
I tylko patrzeć jak... Tu szkoda wielka,
Że moja Muza w grzecznym reweransie
Żegna was senna... Co? Jeszcze nie chcecie
Spać? Otóż proszę: pieją kury trzecie!

123.

A na ten sygnał władczy nie na żarty
Kończą się wszelkie misterje filutów.
Nawet upiory, duchy, strzygi, czarty
Dość mają swoich gorszących debiutów,
I każdy chyłkiem zmyka w grób otwarty,
Nie oszczędzając swych nóg, względnie butów.
Toć nie dziwota, że i Muza moja
Śpieszy spać senna i jakaś nieswoja.

124.

A więc «dobranoc» i «przyjemnych marzeń».
Moje nadobne panie i paniusie!
Jutro wam służę dalszym ciągiem zdarzeń
I jutro ujrzym czy uległ pokusie
Fred, doświadczając tylu «wściekłych» wrażeń...
Tuszę, że jego siostrzyczka w Chrystusie,
Nelly, potrafi mu wyperswadować,
Że... że nie warto kulą głowy psować.

125.

I pewnie każda z was w jej położeniu
Spisałaby się również nie najgorzej.
Płeć piękna ma to w swojem przyrodzeniu,
Że zaprawiona jest do służby Bożej —
I przed grzesznikiem furtę ku zbawieniu
Rada otwiera śród ziemskich bezdroży...
Tedy: *Laus tibi, femina!...* — Okrzykiem
Tym kończę pieśń swą. Byłżeżbym cynikiem?...

1928 rok.

DRUKARNIA
W. L. ANCZYCA
I SPÓŁKI
W KRAKOWIE